

Przegląd kulturalny

Czytamy sprawozdania z dyskusji przedjazdowej

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

Uwagi i wnioski

Czytam sprawozdania z konferencji przedjazdowych. Są suche, urzędowe. Liczba uczestników narady. Referat. Dyskusja. Trochę cyfr. Zabiera głos tow. Ancycowa z Nowej Huty. Kierowniczka hotelu robotniczego. Ma duże trudności lokalowe. Kobiety z dziećmi. Bywa, że dwoje, troje, czworo. Czerwony Kącik należało zająć. Bibliotekę przenieść do pokoju kierowniczk. Zresztą może i lepiej. Zaczęli czytać. Z ciekawości i ze zmartwienia. Z szarugi poobiedniej I, że mąż zapodział się gdzieś. Są książki czytane na głos, z troską w głosie i z niepokojem. I są książki, ot tak, przerzucane. I to nie jest najważniejsze, że są takie i takie. Najważniejsze zacząć czytać. Podsunąć pierwszą książkę. I zapłakać nad nią, tak jak w życiu.

A później przyjechał teatr. Isć nie chcieli, bo deszcz, błoto. I ubrać się nie ma w co. Ktoś jednak powiedział, że na sztuce można się pośmiać, że hecna. „Ciotunia“ Fredry. Poszli wszyscy. Zostawili jej dzieci i poszli. I wówczas chodzili już prawie zawsze. A z drugiego baraku nikt. Woleli isć do „Giganta“, bo cieplej niż w teatrze i napić się można. I co tam teatr, do nikogo ani się odezwać, ani pośmiać. A kiedy przyjechała do Nowej Huty Czerny-Stefańska — zechcieli już isć wszyscy. Kobiety chciały później założyć ognisko muzyczne. Dzieci chcą uczyć. Bo przecież taki talent może być wszędzie. I tyle radości, wielkiej radości daje muzyka.

Gromada Omłoki, powiat rzeszowski. Nauczyciel Rdzewski. Świetlica — dwie duże izby. Meble proste, ale są. I biblioteka. I wycianki ludowe na ścianach. Młodzieży dużo, zwłaszcza dziewcząt. Dziewczeta lubią śpiewać. „Obywatelu Kierowniku, dlaczego świetlica zamknięta już drugi miesiąc? I kieno było, lecz bez seansu odjechało“. „Mróz, dzieci. Białe mróz na oknach i w świetlicy mróz. Nie ma opału. I nie ma nafty. Toteż kino objazdowe pokreśliło się tylko i dało nogę. Skończy się mróz, otworzymy świetlicę“. „A książki nowe będą?“ „Może będą, już rok minął jak dostaliśmy ostatni przydział, chyba więc będą i nowe“.

Czytam sprawozdania. Ludzie wszędzie, na wszystkich konferencjach domagają się teatru, muzyki, filmów, wystaw. Nowych książek. Nie broszur — książek. Powieści. Powieści o życiu. I żeby prawda, i żeby miłość. Domagają się filmów, które byłoby na ekranie widać. I żeby nie chrypiały w głośniku. Artystów, i to nie takich, co to przyjadą na furmance, przemarną, pojadą i znowu wyjadą. I chociaż śpiewali ładnie, to żałośnie było patrzeć, że jak komediantci jeżdżą na furmance.

Przewodniczący Wojewódzkiej Rady w mieście M. prawdziwie jest zatroskany. Otrzymał skargę. Autentyczną otkrę. Dyrektora poważnego wydziału skarży się, że użycono z jego kolumny ciężarówkę „ARTOS“—owi dla wystania brygady artystycznej na wieś. Ciężarówka i kultura. Co za niesłychany pomysł. Gdzieś socjalistyczna ochrona własności. I dokąd — do gminy Kołki. Przecież to sama „reakcja“. Tam nawet szkoły nie ma... Autentyczna skarga. Podpis. Pieczęć. Data. A jakże, jest i data.

Czytam sprawozdanie Centralnego Zarządu Teatrów, Oper i Filharmonii:

„Rok 1953 był pod tym względem pewnym krokiem naprzód. Udział widzów wiejskich w ogólnej liczbie widzów przedsiębiorstw, widowiskowych (bez kin) wzrósł z 5 proc. do 5,8 proc. Na ogólną liczbę wi-

dzów 21 844 tys. i przy średniej na 1 000 mieszkańców 887, w miastach wojewódzkich wypadła 13 890 tys. i 3 970 widzów rocznie na 1 000 mieszkańców, w miastach powiatowych 5 950 tys. i 1 318 widzów na 1 000, w miastach innych 906 tys. i 595 widzów na tysiąc, w gminach wiejskich 1 098 tys. i 73 widzów na tysiąc“.

Partia jest źródłem kształtowania i umacniania najsłabszych uczuć w człowieku, ona to umacniała w naszych sercach miłość dla kraju ojczystego, gorący proletariacki patriotyzm, który łączył się nierozdzielnie z poczuciem solidarności międzynarodowej, z wielką internacjonalistyczną ideą walki o socjalizm. Dzięki Partii i jej bojowej rewolucyjnej ideologii proletariackiej uchwyciliśmy głęboką więź dziejowych losów własnego narodu polskiego i jego najżywniejszych interesów — z walką klasy robotniczej, z wiarą w zwycięstwo socjalizmu.

BOLESŁAW BIERUT

Oznacza to pewną poprawę przy stosunku 3 970 do 73.

Czytajmy dalej. Należy każde sprawozdanie spokojnie doczytać do końca.

„W układzie według województw obsługa wsi w roku 1953 przedstawiała się następująco: Widzów na wsi w ciągu jednego roku na wszelkich imprezach na tysiąc mieszkańców wsi: woj. szczecińskie 260, woj. wrocławskie 204, woj. stalinogrodzkie 202, woj. opolskie 131, woj. olsztyńskie 166, woj. zielonogórskie 103, woj. kępszańskie 100, woj. gdańskie 97, woj. łódzkie 93, woj. poznańskie 90, woj. warszawskie 75, woj. krakowskie 72, woj. bydgoskie 56, woj. białostockie 53, woj. lubelskie 52, woj. rzeszowskie 46, woj. kieleckie 28.

Przypominam — miasta wojewódzkie 3 970 — powiatowe 1 318 — wieś w woj. kieleckim — 28.

Za oknem panuje cisza i nawet skradła się wiosna. Od roku trwa dyskusja, czy założyć objazdowy teatr w Płocku czy Włocławku. Problem istotnie jest ważny, lecz teatr nie ma. Tymczasem delegat na konferencję powiatową, tow. Sciborski z Mińska Mazowieckiego, w dyskusji przedjazdowej nazywa swoje miasto, odległe od Warszawy o 40 km., „dzikimi polami“. Chuli-gaństwo i wódka. Teatr nie był od roku. Kino brudne o straszliwej aparaturze. Prawda — był raz koncert „ARTOS“—u. Dobry nawet. Ludzie walczyli o bilety. Co można było jednak zrobić przy sali na 350 miejsc. Ruch amatorski natomiast nie działa. Nie ma żadnego chóru, ani baletowego kółka. W bibliotece nowe książki ciągle są nieoprawione i nie mogą być tym samym nikomu wypożyczone. Ludzie natomiast mają prawo do kultury. Nie tylko czytając artykuły. Chcą, żeby awans społeczny szedł równolegle z awansem kulturalnym.

Czytam sprawozdanie Centralnego Zarządu Bibliotek. „Wzrosła poważnie ilość czytelników w bibliotekach — z 1 085 000 czytelników w roku 1949 na 2 376 000 w roku 1953“.

Ta łączna liczba czytelników do-

konowała w roku 1953 — 50,8 miliona wypożyczeń. Na ostatnim miejscu znajduje się niestety woj. warszawskie, kieleckie, białostockie i opolskie. Dużo skarg na niedostateczny napływ książek nowych. Brak powieści. Za dużo broszur i publicystyki.

Dyskusja przedjazdowa postawiła problem kultury w ostrym przekroju jej upowszechnienia, Kultura-

to potężna broń w wychowaniu człowieka, to czynna i twórcza siła w jego życiu. Lecz żeby wpływ jej mógł zacząć działać, musi nastąpić proces jej szerokości, trwałego i systematycznego upowszechnienia. Kultura nie może ograniczać się do miast, nie może być przywilejem centrów wojewódzkich, musi stać się prawem i obywatelstwem każdej

strzechy. Prawem i obywatelstwem każdego człowieka Polski Ludowej.

Nie wystarczy jednak centralnie chcieć ten stan zmienić. Problem upowszechnienia — to problem w pierwszym rzędzie terenu. Rad narodowych. Organizacji społecznych. Młodzieży. Nauczycielstwa. Samochodu, przeznaczenie którego na cele kulturalne powinno nie być kamieniem obrazy. Opału, który rada gminna nie powinna zapomnieć wydzielić świetlicy. Bibliotekarza, który nie powinien boczyc się na obojętność czytelnika, lecz spieszyć doń z książką. Działacza świetlicowego, który poza sobotnią zabawą może zorganizować chór, zespół cytrylnicy i kółko miczurinowskie. Centralnego Zarządu Teatrów, którego nie powinien ogarniać „blady strach“ na myśl o teatrze w Płocku. Ministra Kultury, który części-ciej i dokładniej winien czytać listy z głębokiego terenu. Czytać i na nie reagować.

Wiemy, że to nie są proste sprawy. Ani proste, ani łatwe. Lecz każda działalność kulturalna poza cyframi zakłada istnienie człowieka. Jego realne istnienie i jego konkretny rozwój. Jego proces stawiania się w stawianiu się Polski Ludowej.

O wielkiej chłonności terenu na pracę kulturalno-oświatową świadczą między innymi przebieg konkursów czytelników, które objęły w 1951 r. — 60 tys. uczestników, w roku 1952 — 173 tys., zaś w roku 1953 — ponad 600 tys., w tym 83 tysiące zespołów i 92 tysiące indywidualnie czytających. Jednocześnie w świetlicach wiejskich pracowało w roku 1953 przeszło 8 000 zespołów artystycznych i 7 000 zespołów oświatowych.

Zasadniczym jednak brakiem w pracy tych zespołów jest ich kampanijny charakter. Powstają one w związku z terminem określonego festiwału i natychmiast po terminie zamierają. Od konkursu do konkursu, od oberka do oberka, od jednego sprawozdania do drugiego. A może należy przemysleć nagrody za sam fakt trwania roboty. Trwania w ciągu całego roku. Jako przejaw i dokument kulturotwórczej energii danej gromady.

Piszę do mnie dzieci ze szkoły muzycznej z Rzeszowa. Wystawiły operę. Własnymi siłami. Bez żadnej pomocy finansowej Ministerstwa. Proszą, żebym przyjechał. Proszą serdecznie, z głębokim zaufaniem. „Drogie, kochane dzieci — odpisuję — jestem szczerze wzruszony. Naprawdę i szczerze. Przyjadę“. Rzecz prosta nie przyjechałem, Brak

czasu. Biurko, gabinet. Konferencje. Dzieci nie daly jednak za wygraną. W czasie kampanii przedjazdowej piszą po raz drugi. Piszą o tym, że dali szereg spektakli w mieście i w terenie. Na fabrykach i na wsi. I że nie chcą żadnej pomocy materialnej. Chcą natomiast, żeby oceniono ich pracę w ramach zobowiązań Drugiego Zjazdu Partii.

Czytam ten list jako jeszcze jeden dokument dyskusji przedjazdowej. Jako jeszcze jeden dokument niedostrzegania ogromnego wysiłku terenu. Jego twórczości. Jego wkładu w kulturę narodu.

Zeby móc pracować z entuzjazmem należy nie tylko rozumieć sens pracy, lecz należy zdobyć przeświadczenie, że ten sens widzą i rozumieją inni.

I dlatego boli teren, gdy imprezy ich przechodzą niezauważone, gdy zabiera się im najlepszych artystów, z których są tak dumni i których traktują jak swoich, gdy lekceważy się ich wysiłek, i gdy pomoc przychodzi zbyt późno. Nie należy działać za teren, przeciwnie — trwały rezultat można osiągnąć tylko przez systematyczną i trwałą aktywizację najszerszych mas i wszystkich terenowych organizacji państwowych i społecznych. Nie wolno jednak nie dostrzegać rzetelnej pracy i nie wolno planować nowej geografii kulturalnej bez śmiałej decyzji decentralizacji naszych wysiłków i zamierzeń.

I nie wolno iść w rozsypek obnosząc się ze swoim podwórkiem jak z przysłowiową „kurzą grzędą“. Osobno Ministerstwo, osobno CRZZ, osobno ZSCH i jeszcze osobno młodzież. Zadania są wspólne i cel jest wspólny. Koordynować, to jeszcze nie komenderować. To znaczy uzgadniać plan, zadania, środki i zgodnie działać, pamiętając o Partii jako o sile głównej i kierującej.

Dyskusja popelnumowa i przedjazdowa ostro i wyraźnie postawiła problem podniesienia jakości usług kulturalnych, udoskonalenia metod naszej pracy, problem upowszechnienia tradycji i problem naszej współczesnej sztuki. Naród stawia zadania. Szerzej, więcej i lepiej. A może nawet i nie więcej, lecz mądrzej, bardziej planowo i z większym rozeznanie istotnych potrzeb.

Nakłada to na nas w perspektywie Drugiego Zjazdu nowe obowiązki i nowe zadania, którym musimy sprostać.

I w twórczości, i w jej upowszechnieniu.



PARTIA

Wczoraj, 10 marca 1954 roku, rozpoczął obrady II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Minęło pięć lat od Pierwszego Zjazdu, który na zawsze zamknął nieszczęsną kartę politycznego rozbitcia polskiej klasy robotniczej, a przyniósł jej zjednoczoną, marksistowsko-leninowską Partię, spadkobierczynię rewolucyjnej walki klasy robotniczej — Wielkiego Proletariatu i SDKPiL, KPP, PPR i lewicowego jednolitego frontu nurtu PPS — walki o wyzwolenie człowieka i realizację idei socjalizmu.

Dziś wiedzą już wszyscy, choć niespełna dziesięć lat dzieli nas od wyzwolenia i objęcia władzy przez robotników i chłopów, że w całej naszej historii nie było drugiego takiego okresu, który by tak zasadniczo zmienił i przeobraził życie i los każdego obywatela, terazniejszego i przyszłego narodu polskiego.

Odbyliśmy długą drogę. Zostawiliśmy za sobą świat nędzy milionów, przywileju i luksusu pasożytów, głodu, bezrobocia i braku perspektyw dla młodzieży; poniewierki człowieka, ciemnoty i zacofania ludu. Wchodzimy w świat nowy — pracy dla wszystkich, młodości spokojnej i twórczej, poszanowania ludzkiej godności, powszechnej wiedzy i nauczania, rozkwitu narodowej i ogólnoludzkiej kultury i sztuki.

Prowadziliśmy ciężką walkę wypełnioną trudem i pracą, znaczną wyrzeczeniami i zwycięstwami. dla dobra i szczęścia polskiego ludu, pod kierownictwem Partii, której zaufały cały naród,

Wielkość i siła, mądrość i polityka naszej Partii wydobylały najlepsze cechy polskiego ludu — pracowitość i żywą wyobraźnię, inteligencję i zaradność — i wyzwoliły je do czynów, które przekształcają ziemię naszą w kraj wielkiego przemysłu i rosnących pól, nową, radia, lampy elektryczne, książki i teatr.

Jesteśmy nowoczesnym państwem. Siła nasza wyrosła z pogłębiającej się jedności moralnej i politycznej narodu. Niepodległość oraz spokojny i niezakłócony rytm budownictwa socjalizmu zawdzięczamy pierwszemu państwu robotników i chłopów, z którym złączeni jesteśmy więzami przyjaźni i braterstwa. Przyszłość swą budujemy wspólnie z ośmiuset milionami ludzi wolnych, zamieszkujących kulę ziemską między Łabą i Oceanem Spokojnym, którzy podobnie jak my, po raz pierwszy w historii mogą pracować dla siebie, dla radości i dobra swych dzieci, dla spokojnej przyszłości następnych pokoleń. Wzmacnia nas walka milionów bojowników o pokój i demokrację na całym świecie.

Za życie nasze wezbrane od gorących pragnień i wielkich marzeń jesteśmy wdzięczni naszej Partii. Miłujemy ją za to wszystko, co dziś posiadamy, za to, że nauczyła nas kochać sprawiedliwość i nienawidzić krzywdę, nieomylnie odróżniać interes i szczęście narodu od dróg, które prowadzą do nieszczęść i klęsk. II Zjazd Partii nakreślił szlaki dalszej naszej walki o lepsze życie każdego człowieka, dobrobyt i przyszłość narodu polskiego,



BENDKOWSKI

Rys. I. Celnikier

— Tutaj panie nawet łubin był kiepski. Klepali ludzie biedę. Na tym całym kawale najwyżej trzy rodzinny utrzymywały się z trudem — wskazał ręką Zawisza na szary kompleks gmachów cementowni — a teraz ilu to ludzi się z tego utrzyma. Kłoby mógł przypuścić, że coś takiego będzie w naszych stronach... Nie chciały na tych piachach rosnąć ziemniaki, żyta szkoda było siał. Tatarka usychała nim zdążyła zakwitnąć... Ciasno było i ciężko ludziom. A teraz leci panie, leci... — Tak informował mnie o wybudowaniu cementowni w Wierzbie średniorolny chłop, Józef Zawisza. Było to jesienią 1952 roku. Przed kilku miesiącami zadymił po raz pierwszy komin i ruszyły z szumem maszynny giganta. Na drogach walczyły samochody dowożące ludzi do pracy. Po niebie snuł się szeroka smuga biały dym widoczny z daleka. W nocy nad fabryką i kopalnią marglu jaśniała wielka luna.

Po uśpionych polach szedł jęk młynów ścierających w swoich pękających bruchach margiel i kamień wapienny. W potężnych piecach, w temperaturze 1400° przetapiał się zmieszany margiel na twarde kulki klinkru.

Zgrzytały łamacze gniotące bryły wapienia, jakby to były odlammy kruchej piany. Wyły motory elektryczne, dudniły kompresory, zanosiły się wysokim gwizdem suwnice, turkotały młyny węglowe, cementowe, surowcowe. Cały gigant dniem i nocą bez sekundy przerwy drgał życiem. Codziennie odchodziły długie pociągi naladowane workami z szarym cennym pyłem. Przy agregatach sprzężonych maszyn czuwalili chłopcy z Wierzby, Polan, Osin, Rzeczkowa i innych okolicznych wsi. Jeszcze trochę nieufni stalowym kolosom, jeszcze trochę ogłuszeni szumem i gwarem, ale ciekawi i z każdym dniem ignący coraz bardziej do fabryki.

Zmieniło się w Wierzbie przez te kilka lat władzy ludowej i leci ludziom, leci — jak powiedział Zawisza.

Wtedy właśnie, jesienią 1952 roku, postanowiłem pozostać w Wierzbie i napisać powieść o ludziach, którym wreszcie leci...

Długie miesiące spędziłem z nimi. By lepiej ich poznać pracowałem jakiś czas jako robotnik cementowni. Powieść napisałem. Nie sądzę jednak bym wyczerpał tematykę, jaką stworzyła tutaj nasza nowa rzeczywistość, nasza władza ludowa. Tego nie zamknę się w jednym tomie. Trzeba by o każdym prawie z ludzi pisać osobne dzieło. Na przykład o Michałkiewicz, obecnym majstrze działu szlamowego. Znał on życie w młodości od strony kułackich obór i skąpo, wydzielanych kromek chleba. Życie chmurne bez żadnej nadziei na pogodniejszą starość. Raz

tylko uśmiechnęła mu się „szansa” zostania dziadem kościelnym. Było to w okresie, kiedy parobkował na plebanii. Ksiądz był z niego zadowolony. Zmniejszał mu więc stopniowo „honorarium”, a nie szczędził obietnic — że jak tylko umrze stary Sobek, to miejsce po nim zajmie Michałkiewicz. Stary Sobek jednak krępkie miał życie. Uparcie nie chciał umierać, a nawet żyje do dziś dnia, choć od chwili obietnic księzkowskich minęło już blisko 20 lat.

Po kilku latach wyczekiwania zrozumiał Michałkiewicz, że prędkiej osiągnie „szczęśliwość wieczną” niżeli upragniony etat. Robota parobka, chociaż na plebanii, była ciężka, a jadlo skąpe aż strach. Suszyło się piątek i świętek. Zrezygnował więc z tej jedynej szansy życiowej. Mijały lata nudne, biedne, a pracowite. Po wyzwoleniu dostał 2 hektary ziemi z reformy rolnej. Ziemi w Wierzbie do rozdziału było mało, a takich jak Michałkiewicz jest sporo. Dobrze jednak i dwa hektary. Poczuł się teraz Michałkiewicz równy prawdziwym gospodarzom. Gospodarzył na swoim. Zgrodził jakąś chałupinę i gospodarował z rodziną. Nie było z tego dużo, ale chleba, chociaż skąpo — to wystarczyło. Można było uchować krowinę i jeżeli udały się ziemniaki, to w chlewku pchrząkiwał prosiak.

Byłoby całkiem dobrze — gdyby tak do swoich hektarów dorobić gdzie jeszcze parę złotych. Ale gdzie? Jako „gospodarzowi” nie wypada iść na zarobek do bogatych. Zaś o innej robocie w okolicy ani słychu. Do miasta, gdzie idą

pełną parą fabryki, daleko. Do stacji kolejowej w Jastrzębiu 10 kilometrów. Chcieć pracować w Starachowicach, czy Radomiu, to trzeba tam mieszkać... a tu jak zostawić te dwa hektary. Puścić tak kantonem ziemię. Iść w obce strony. Nie. Do tego nie był zdolny. Nie czuł się na siłach wyjechać. Czasami tylko ktoś z Wierzby wyjechał, to opowiadał po powrocie o budowanych nowych fabrykach, osiedlach, przy których setki i tysiące znajdują pracę i chleb. Żeby tak kiedy i u nas coś takiego — wzdychał Michałkiewicz.

Kiedy ruszył pierwszy piec, kobiety pracujące w cementowni rzuciły się do ucieczki. Hałas rozbudzonego kolosa przysparzył je o paniczny lęk. Starzy majstrowie, cemenciarze pokładali się ze śmiechu na widok tłumu szturmującego wszystkie wyjścia. Jagoda opowiada nam o tym pierwszym dniu z nieskrywaną wesołością. Ale majster Jagoda, stary cemenciarz, przepracował w swym fachu blisko dwadzieścia lat. Co najmniej drugie tyle spędził w przemyśle. Robotnice pracujące obecnie w cementowni wierzbińskiej przyszły tu wprost od rącznych kolowroików. Wśród mało-rolnych chłopów Kielecczyny — którzy jeszcze dziś pieciohektarowemu gospodarzowi bez skrupułów nadają miano kulaka — kierat kon-



JOZEF HAJDUK

Rys. I. Celnikier

To samo myśleli u sąsiada Zawiszy, gdzie na 5 morgach siedziało czworo dorosłych całkiem zbytecznych przy takim małym gospodarstwie. U Wakuly troje by z chęcią poszło do pracy. U Ogórzaków dwoje. I tak chałupa w chałupę. Nie tylko w Wierzbie, lecz jeszcze ciasniej było w sąsiednim Nowym Dworze położonym na szczerych, prawie lotnych piaszczach. Przeludnione były Osiny, Lipienice, Dąbrówka, Polany...

Ludzi z każdym rokiem przybywało. Młodzi dorastali. Z nudów grano całymi dniami w karty, radzono o „polityce”. Ten i ów z młodych przystawał do grasujących w okolicy band. W 1948 roku bandy zostały wytępione. Przy kartach rozprawiano o bliskiej wojnie i oczekiwano jakiejś zmiany, która rozładuje nudy i ciasnotę. Wyjeżdżać na Ziemię Odzyskane odważyło się zaledwie kilku. Przecież wojna „ino wisi” opowiadał sobie nawzajem przed kościołem. Lepiej znaleźć śmierć w swojej wsi. Bogatym chłopom to nie przeszkadzało. Owszem, byli nawet zadowoleni. Mieli dość tanich rąk i po dawnemu kwili. Oni nie pragnęli innej zmiany jak wojna.

Zimą 1949 roku na ugorach Wierzby pojawili się wiertacze i z miejsca zaczęli drążyć ziemię w kilku miejscach. Przy ekipie wiertniczej stał przebywał radziecki ekspert, inżynier Jeżow. Zainteresowali się ludzie. Co robią? Czego szukają? Co tu będzie? Radzono po wsiach zaciekle. Jak Wierzbica Wierzbica nikt na tych polach nie pracował w zimie, a tu patrzcie — przyjechali i wiercą dziury. I to nie jedną. Do ekipy wiertniczej potrzeba było kilkudziesięciu miejscowych ludzi. Obiecywano niezły zarobek. Zamiast czterdziestu chciało pracować blisko dwustu. A kiedy nadeszli z innych wsi, to byli rozczarowani, że roboty brakło. Z początku nie było odwagi, bo tu jest ten ruski i ludzie gadają... a teraz za późno. Pocięli wiertacze zawiedzionych, że jak tylko zacznie się budować fabrykę, to jeszcze miejscowych będzie za mało. Nie wierzono. A bo to jeden raz przed wojną obiecywano im, że będzie się tu budować, a to drogę, a to kolej, to znowu co innego. Obiecywano wtedy, kiedy ludzie za bardzo się burzyli, że nie ma co jeść. A gdy ucichło i część tych najbardziej potrzebnych pojechała na „zakasy”, a część poszła na bandos w pszeniczne sandomierskie, to i o obietnicach zapomniano. Dlatego ludzie stali się nieufni.

Niedowierzali nawet wtedy, kiedy pod jesień 1949 roku zaczęły na stację Jastrzab nadchodzić paki z maszynami. Na pakach były rosyjskie napisy. Bowiem Związek Radziecki dostarczył w ramach umowy handlowej całkowite wyposażenie

nie cementowni, jaką postanowiono wybudować na górze pod Wierzbicą jako jeden z obiektów planu sześcioletniego.

Zaczęto kopać fundamenty. Ruszyła budowa. Mrowili się ludzie. Pracy starczyło dla wszystkich. Wraz z budową hal fabrycznych rosły bloki nowoczesnego osiedla mieszkaniowego. Chłopcy nie tracili już czasu przy kartach. Rosli w nich przedownicy pracy.

W dniu 11 sierpnia 1952 roku wyniosły komin górujący nad Wierzbicą zadymił po raz pierwszy. W tym dniu otrzymał Michałkiewicz nominację na majstra działu szlamowego. Uczyl i kierował zespołem robotników — swoich sąsiadów i kumotów z Wierzby. Czekał nad zespołami maszyn napędzanych tysiącokonnymi silnikami. To nie księzkowska para kasztanów. Tutaj kieruje tysiącem koni stalowych, a doszedł do tego stanowiska pracą. Jest zadowolony z życia. Ile razy przechodzi obok kościoła przy pominięciu mu się perspektywą zostania dziadem kościelnym, jaka otwierała się niegdyś przed nim, Marszczy wtedy brew i stara się o tym zapomnieć. Na drugi dzień pracuje jeszcze gorliwiej.

Pamiętam, że jednego razu wskutek zatopienia kamieniołomów przez wiosenne roztopy stanęła fabryka na kilka dni. Znalazłem się akurat wtedy w jednej wsi oddalonej od cementowni o kilkanaście kilometrów. Stary, siwy chłop, z którym

rozmawiałem stojąc przed jego zagrodą, w pewnym momencie urwał i zaczął patrzeć gdzieś nad moją głową.

— Co to, bociany lecą — zdziwiłem się.

— Nie — rozjaśniła się chłopu w uśmiechu pomarszczona twarz — spojrz pan, dymi.

Spojrzałem we wskazanym przez niego kierunku. Zza lasu ledwie widoczny był szczyt komina owianego kłębem dymu.

— Nie dymił panie trzy dni. Już myślałem, że zastawili na dobre jak przed wojną te kopalnie rudy w Mirowie. Chwała Bogu dymi na zad.

— Co wam z tego, że dymi. Przecież nie pracujecie tam?

— Ja nie, panie. Ale mój syn i zięć tam robią. Syn jako palacz. Dostał mieszkanie w blokach i umieblował się... Zięć ma dostać w czerwcu. A do ty pory patrz pan — wskazał zgrabiałą i ciemną od roboty ręką na przysiadłą do ziemi chałupę. — W jednej izbie my mieszkali ze starą. Syn z synową i ich dwoje dzieci. Zięć i córka... a gruntu na wszystkich osim morgów... Wstyd panie się przyznać ale syn przed tym chciał mi dać wycug i zawsze się pieklił. A teraz kochane z niego dziecko i zarabia, panie, leci mu Byłem u niego na święta, to stół zastawiony wcale po pańsku i tapczan se kupił.

Leci, panie, ludziom z tą cementownią.



MARIA MALEK

Rys. I. Celnikier

Życie w przędzy

całkiem niedawno przeszli fachowe wykształcenie.

Wysoko ponad piecami, w planowaniu rur, kabli i przewodów, w zbieżnej na przędze z desek budce chroniącej od wiatru, przy prowizorycznie zainstalowanym piecyku, tak zwanej kozie, siedzi dziewczyna w granatowym roboczym fartuchu, długich gumowych butach, jakie noszą tu wszyscy cemenciarze i — sztydelkuje na drutach swetr. Co pół godziny ze stoperem w ręku wdrapuje się po stopniach na galerię, gdzie przeprowadza pomiary. To Maria Malek, jedna z robotnic zatrudnionych w cementowni przy nadzorze przyrządów pomiarowych. Z miejsca jej pracy przez okienko w budce rozciąga się rozległy, płaski pejzaż kieleckiej wsi. O tej porze roku szary i małowody. Na zaśniedziałej płaszczyźnie pół przysiadły stada drobnych chałup. Stąd gołym okiem dojrzeć można prawie wieś, skąd pochodzi i mieszka młoda robotnica. Ten kontrast między robotką w rękach wiejskiej dziewczyny, piecykiem i sennym pejzażem jej wsi — a miejscem pracy, funkcją wykonywaną, stoperem i kombinizmem zainteresował chyba przybyłego z nami koleżę grafika, bo wyciągnął arkusz papieru, otwiera tusze i sztykuje się do szkicowania. Dziewczyna odwraca się zażenowana, wreszcie przystaje na rolę modelu. Ale wciąż jeszcze jest czegoś niezadowolona. Przyczynę wyjawia nam dopiero na odchodnym, gdy portret już był gotów. Otóż, pragnęła, aby rysowano ją nie z robotką, ale ze stoperem w ręku, przy przyrządach pomiarowych. Mimo woli dziewczyna odkryła kwestię typowości artystycznej.

Wielka szkoda, że tak często jeszcze pisarze współcześni nie widzą tego zagadnienia tak jasno jak Maria Malek, i w swym profesjonalizmie lekką ręką, bez wyrzutów sumienia latają swe utwory banałami, przekonani, że sceny w fabryce należy okupić scenami w kółku rodnym, przy herbacie, kiedy bohaterki sztydelkują szalik. To chyba właśnie ten kompleks literacki zrodził obelżywy rzekomo termin: „produkcyjniak”. Ale wbrew lekkom i obawom oportunistów, nowa literatura odnajduje swego bohatera tam, gdzie w pełni ujawnia on swą osobowość, swoją aktywność życiową i społeczną — a więc w miejscu pracy. Cervantes wykpił błędnego rycerza

za w chwili gdy walczył z wiatrakami, Defoe uczynił swego bohatera kolonizatorem bezludnej wyspy, Balzac przeniósł go do kantoru, Mann kazał mu dogorywać w szwajcarskim sanatorium w stanie biologicznej i społecznej inercji. Współczesny epik poszukuje go w fabryce, na budowach socjalizmu,

2

W Polanach, we wsi, gdzie mieszka Maria Malek, założono w zeszłym roku spółdzielnię produkcyjną. Złożyli ją przedwojenni formalne, parobcy, drobnorolnicy. Przyłączyli się do nich małorolni pracujący w cementowni i wzmocnili trzon kolektywu. Praca w przemyśle, nowy styl życia, sposób zarobkowania i zmiany z tym związane osłabiły w nich nawyk posiadania ziemi, przywiązanie do indywidualnej gospodarki. Jest to jeden z przejawów przenikania ideologii klasy robotniczej na wieś; sojusz robotniczo - chłopski przetrzmaczony na język praktyki.

Oglądaliśmy skromne mienie nowopowstałej spółdzielni, rozmawialiśmy z jej przewodniczącym. Ze słów jego wynikało, że na blisko trzydziestu członków przypada około stu pięćdziesięciu hektarów gruntu, w tym blisko siedemdziesiąt hektarów łąk i pastwisk. Wydaje się rzecz jasną, że w tych warunkach spółdzielnia polanicka nie może się nastawić na wyłączną produkcję zboża, gdyż areal ziemi uprawnej jest znikomy w porównaniu z liczbą członków spółdzielni. Jest dostateczny, aby zapewnić im utrzymanie, lecz zbyt mały, by w sposób efektywny podniósł ich stopę życiową, materialną i kulturalną. Jakże wobec tego rysują się perspektywy przed spółdzielcami z Polan? Przy ich możliwościach paszowych powinni wkrótce na drodze intensywnego gospodarki hodowlanej, oraz wypróbować możliwości intraintry uprawy kultur ogrodniczych. To wysoko opłacalne dziedziny gospodarki rolnej gwarantujące w tempie daleko szybszym niż wyłączna produkcja zbożowa wzrost różnorodności obrachunkowych. Ale o tym muszę pomyśleć nie tylko spółdzielcy z Polan, winni ich w tym uświadomić powiatowi instruktorzy rolni, aktywi partyjni i działacze. Aby uczynić pierwsze kroki spółdzielnia musi zaciągnąć

CENTRALNY TEATR DLA WSI

HANNA
KULAGOWSKA

Dotychczasowe dyskusje na temat Teatru Wiejskiego w Polsce przypominają niestety zbyt często scholastyczne dzielenie włoś na czworo. Na przykład teoretyczne — i skądinąd pożyteczne — rozważania, czy pozycje repertuarowe Teatru Ziemi Łódzkiej wybrane zostały słusznie czy niesłusznie — w obliczu spraw pierwszej potrzeby wyglądają trochę na wydziwianie sytych wybrańców nad dobrocią kasku potykane go w pośpiechu i chciwie przez ludzi głodnych. Kampania prowadzona pod hasłem walki o wiejskiego widza jest kampanią nieco przedawnioną — powinna stać się ona raczej kampanią o Teatr Wiejski w skali ogólnokrajowej. Widz jest — i czeka. Do teatru gotów jest iść pieszo, kilometrami, w mroz — tak jak chodził już na spotkania z Teatrem Ziemi Łódzkiej. Pisząc często — i czasem bardzo nawet słusznie — o zdobywaniu nowego widowni, nie uprawiamy dyskusji abstrakcyjnych i... demagogicznych. Co mamy właściwie tej nowej, wiejskiej, upragnionej przez działaczy kulturalnych widowni do ofiarowania?

Przed wszystkim Teatr Ziemi Łódzkiej. Jego powstanie było niewątpliwym sukcesem. Krokiem pionierskim. Umożliwiło w ogóle dyskusję o Teatrze Wiejskim na konkretnym, rodzinnym, a już nie tylko radzieckim czy czeskim materiale. Walki i trudności TŻŁ stały się przedmiotem opisów, rozstrzaśań i reportażów w całej prasie. Trudne dojazdy, nieogrzane sale, zalegający się zespół, docieranie do głuchej wsi, entuzjastyczne przyjęcie, kulturalne i polityczne skutki tych objazdów itd. — o tym mówią wszystkie sprawozdania. Godzi się zauważyć, że od dawna już z tych prawdomównych relacji zniknąć powinny chyba tak liczne opisy kłopotów i niedostatków, jakie zresztą heroicznie pokonywanych. Teatrowi Ziemi Łódzkiej po prostu niedostatecznie pomagano — nawet w zakresie technicznym.

Sam fakt funkcjonowania Teatru Ziemi Łódzkiej uśpił wiele sumień teatralnych. Ale ani Teatr Ziemi Łódzkiej z jego ograniczonym zasięgiem terytorialnym, ani stwarzanie na jego podobieństwo teatrów wiejskich w kilku jeszcze województwach nie rozwiąże sprawy dotarcia do całej wsi polskiej.

Powtarzamy — problem Teatru Wiejskiego, objazdowego — w warunkach najlepszych dla widza i dla teatru — rozwiązany być może tylko w skali ogólnopolskiej.

*

W jaki sposób, jakimi środkami odpowiadano dotychczas na głód teatralny wsi?

Ogromna większość stałych teatrów w Polsce posiada pokazy plan objazdowy. Niektóre z nich podróżują dużo i wytrwale, pokonując przy tym zresztą niezliczone trudności. Celem tych wyjazdów są najczęściej większe i mniejsze mia-

steczka. Na autentyczną wieś dociera znikoma ilość spektakli. Wystarczy przyjrzyć się planom objazdowym teatrów na rok 1954, obszerniejszym przeciętnie niż w roku 1953. Np. Teatry Lubelskie planują 165 wyjazdów. Z tego na wieś przeznaczonych jest zaledwie 20. Teatry Bydgoskie — z planowanych 230 spektakli na wieś zawiozą 15 — Teatry Gnieźnieńskie z planowanych 320 — 40. Przytoczenie tych zestawień nie ma być złośliwością w stosunku do wymienionych teatrów. Jest to ich niezmierna zasługa, że jeżdżą w teren, często kosztem wyczerpania fizycznego aktora, kosztom poważnych wyrzeczeń. Dodajmy, że wiele z wystawionych przez nie przedstawień nie nadaje się po prostu na wieś. Przedstawienie — kolejne, któreś już tam z rzędu dla miasta i miasteczka, wtopione w jakieś określone środowisko, naturalne w tym środowisku — dla wsi okazuje się przypadkowe lub nawet niefortunne.

Poza tym wieś nie jest jeszcze przygotowana technicznie na przyjęcie nieopracowanego dla niej specjalnie spektaklu (brak sal, pomieszczeń, kwater). Na barki teatrów stałych nie można zrzucić całego ciężaru. Chodzi też o to, że nie powinno się porzucać uprawy jednych terenów, już owocujących, dla terenów innych — choćby były ugiem. Nie zrobi się Teatru Wiejskiego kosztem miasta i miasteczka.

Najdalej dociera Artos. Ale i Artosiem nie załatwi się sprawy teatru dla wsi. Artos to przede wszystkim składanka. Przenośna, elastyczna, walizczkowa niemal, stosunkowo dość wygodna w transporcie — ale zawsze składanka. Pełnych spektakli posiada Artos w repertuarze tylko kilka.

Nawet jeśli w działalności i repertuarze Artosu nas, pi radykalna poprawa, nie rozwiąże do sprawy teatru dla wsi. Ma on swe własne, odrębne zadania. Artos potrzebny jest w urozmaiconym jadłospisie widowiskowym wsi — ale nigdy na zasadzie jedynego dania. Z troski o pełnowymiarowy teatr dla wsi nie zwolnić nas ani Artos, a tym bardziej teatr lałkowy czy też kino.

Jeszcze jeden zakres teatralnego wyżywiania się wsi: ruch amatorski. W świetlicach gromadzkich i luźnych działach 2700 amatorskich zespołów dramatycznych. W świetlicach wzorcowych około 800. W powiatowych domach kultury powinno ich być sto. Ruch amatorski — powiedzmy to sobie szczerze — rozwija się slinej w ośrodkach miejskich, gdzie są mniejsze trudności z fachowym instruktorem. W miastach ośmiogodzinny dzień pracy pozwala na planowanie zajęć z zespołem. Na wsi praca rwie się w okresach nateżenia wielkich kampanii siewnych, żniwnych, cukrowniczych. Żadnego zresztą z działań życia kulturalnego nie można traktować w oderwaniu od innych. Toż i praca zespołów amatorskich nie może odbywać się bez takiego

źródła inspiracji, jakim jest prawdziwy teatr. Bez oddziaływania teatru ruch amatorski zejść może na ścieżki prowincjonalizmu i tego, co właśnie nazywamy złą „amatorszczyzną”, robioną na chybił trafił.

A więc potrzebny jest objazdowy Teatr Wiejski w skali ogólnopolskiej z bazą w Warszawie. Z bazą w Warszawie, bo to jedynie zapewni mu należytą opiekę ze strony władz, bo to wciągnie w akcję montowania zespołu, ustalania repertuaru i kryształowania założeń ideowych sztab najlepszych ludzi teatru.

Najważniejszą sprawą, która umożliwiłaby dopiero funkcjonowanie tej imprezy, będzie stworzenie jej odpowiednich podstaw technicznych. Planowanie Teatru Wiejskiego bez rozstrzygnięcia zagadnień technicznych nie da spodziewanych rezultatów, a może doprowadzić do zmarnowania najszczerzych entuzjzmów, najrzetelniejszych wysiłków artystycznych. W okresie montowania teatru uruchomić trzeba całą

ekipę specjalistów od zagadnień wiejskich i specjalistów od zagadnień teatralnych. Zagadnienia bazy technicznej nie przypadkiem wysuwają się tu na plan pierwszy. Dotychczasowe doświadczenia wskazują, że bez sprawnego aparatu organizacyjnego pracy nad teatrem objazdowym nie warto nawet zaczynać. Tym bardziej nad teatrem centralnym w skali ogólnopolskiej.

Dokonana musi zostać inspekcja terenu od strony posiadanych przezeń pomieszczeń nadających się na urządzenie spektaklu. Pracę taką będzie trzeba, oczywiście, prowadzić nadal już w czasie istnienia zespołu centralnego teatru objazdowego.

Teatr Wiejski musi np. posiadać elementy dekoracyjne kilku typów, nadające się do rozstawienia w najrozmaitszych sytuacjach lokalowych (sala świetlicowa, szopa, szkoła, wolne powietrze). Jednym z rozwiązań byłoby posiadanie własnego wozu-sceny wykluczającego w zna-

cznej mierze kłopoty z formatem inscenizacji, zmiennym dla różnych, rozmaicie wyposażonych w sceny ośrodków. Podobnie z góry, planować, rozwiązać trzeba sprawę światła i wiele innych. Pomieszczenia dla aktorów, garderoby, kulisy, noclegi itd. — to znów sprowadza się do zagadnienia taboru. A więc autobusy — mieszkalne, samowystarczalne autobusy. Wtedy dopiero zlikwidowana zostanie groza objazdów odstrasząca dotychczas aktorów.

Bez bazy organizacyjnej nie ruszymy z miejsca. To konieczny i podstawowy etap pracy, ale nie zapominajmy, że właściwa praca postulowanego przez nas teatru zaczyna się dopiero po pomyślnym rozwiązaniu spraw organizacyjnych.

Przed takim teatrem stoją doniosłe zadania polityczne. To nie wymaga komentarza. Nie może on jednak uprawiać trywialnej, mało skutecznej agitacji. Sztuki wspólczesne powinny znaleźć się w tym

teatrze nie na zasadzie doraźnych tylko celów politycznych, ale na zasadzie obowiązujących w całej naszej polityce kulturalnej kryteriów ideowo-artystycznych. W długofalowym oddziaływaniu politycznym obok utworów współczesnych przysię i Fredro obok Bałusza i Goldoni. obok Kruczkowskiego klasycy naszego Oświecenia. Kierując zainteresowanie widza w kierunku spraw przekraczających widnokręgi własnego podwórka, formuje się kulturalnego, wrażliwego człowieka, zdolnego do samodzielnej i trafnej interpretacji rzeczywistości. W ten sposób i Szekspir przygotowuje grunty pod dostawę zboża dla państwa!

Teatr Wiejski musi być teatrem pełnokrwistym, teatrem najlepszym na jaki nas stać — nie „teatrem z konieczności”, mającym na siłę zapełniać puste miejsca w terenie, lecz zespołem walczącym z pełną odpowiedzialnością na pierwszej linii naszej bitwy kulturalnej.

PIĄTKA Z ULICY BARSKIEJ

BOLESŁAW MICHAŁEK

W toczącej się dyskusji o młodzieży raz po raz wspomina się o „potrzebie wrażeń”. padają słowa „przygoda”, „romantyzm”. I jeśli wtedy myśle, co ma o powiedzenia w tej sprawie film polski, stają mi przed oczyma ugrzecznieni, przyłmnie uśmiechnięci młodzi adepci sztuki marynarskiej z „Zalogi”, w dobrze zaprasowanych spodniach i twarzowych bluzach. Przypomina mi się, jak przekonywali się nawzajem o tym, że trzeba się uczyć i mieć bardzo dobre wyniki. Jeden z nich nie chciał się uczyć, wziął sobie tzw. murzyną, a co gorsza, pewnego wieczoru poszedł z kolegą do miasta, skąd wrócili dopiero rano. Pewnie się tam źle zachowywali! Inni koledzy m.eli im to za złe, a i komendant szkoły nie był zadowolony. To mi przegoda!

W życiu było trochę inaczej. W czasie, gdy film był wyświetlany na naszych ekranach inni młodzi marynarze — mniele może ugrzecznieni, ale za to istniejący naprawdę — ratowali z narażeniem życia tonący okręt. Ale wielkiej przygody, którą na każdym kroku daje młodzieży dzisiejsze życie, nie oglądaliśmy w kinie. Musiała się młodzież zadowolić perypetiami owych grzecczych chłopców, perypetiami, które odznaczały się tym, że z bujnym,



intensywnym życiem, które wiedzie — i chce wiedzieć — nasza młodzież, nie miały nic wspólnego.

Piszę o tym, bo w sprawie młodzieży padł argument o wielkim ciężarze gatunkowym. Dojrzałe, wzruszające dzieło artystyczne: film „Piątka z ulicy Barskiej”. Bez fałszywej wstydlivosti, bez uroczystego rezerowania, po męsku ukazuje film jątrzący problem części naszej młodzieży, zdegenerowanej przez wojnę. Dodajmy: młodzieży przestępczej, która bodaj w każdym innym społeczeństwie miałaby odciętą powrót do życia. To wydaje mi się istotne. Bo o ideowo-artystycznej wartości tego filmu stanowi to, że ukazano przekonywająco, iż u nas droga do rehabilitacji, droga powrotu do społeczeństwa, jest dla tej młodzieży otwarta. „Romantyzmowi” przestępstwa przeciwstawiono romantyzm twórczej pracy, którym tchnie warszawska budowa trasy W—Z. W zwycięsko zakończonych walce dwóch światów o człowieka tkwi jakiś potężny ładunek optymizmu, który jest chyba dominującą cechą filmu. Jest to optyzm nowy, trudny, niepowierzchniowy, którego nie dostrzegaliśmy dotychczas na ekranach.

Jeszcze raz cofnę się do ostatnich lat. Nie tak dawno temu m.eliśmy charakterystyczne próbki „optymizmu”. Wiejska gromada dopięta swego i w terminie ukończyła budowę mlyna. Nie zdolał jej w tym przeszkodzić ani kulak, ani jego kumoter z powiatowego miasteczka. W takim zakończonym „Gromady” krył się optymizm krótkowidza, który zgubił okulary. Widzi wprawdzie i cement, i mąkę, ale nie dostrzega źródła optymizmu naszych czasów: człowieka. A oto druga próbka „optymizmu”: za dobre sprawowanie bohatera „Skarbu” otrzymał mieszkanie. O tym ostatnim przykładzie myślałem, kiedy jeden z bohaterów „Piątki” w epizodycznej scenie wprowadza się do nowego mieszkania — a w chwili późniejszego życia jego komplikacje się na nowo. Ten fragment zestawiony z tamtym happy endem mieszkaniowym ukazuje dość wyraźnie inny wymiar optymizmu, który tchnie z filmu, a jednocześnie, inną rangę artystyczną. Wykładnikiem optymizmu „Piątki” jest kapitał dla naszych czasów problem odzyskania ludzi dla życia.

Warto, najogólniej choćby, zastanowić się, gdzie leży źródło sukcesu artystycznego Aleksandra Forda, Kazimierza Koźniewskiego i pozostałych współtwórców filmu.

Do pierwszego źródła — ślad wiedzy przez dramaturgię „Piątki”. Film jest nabrałymi akcją żywą, niezmiernie ciekawą, skomplikowaną, a jednocześnie dla każdego zrozumiałą Czy takie budowanie akcji to wyłącznie sprawa zręczności warsztatowej Forda i Koźniewskiego? Oczywiście nie. To przede wszystkim umiejętność wyboru konfliktu, pełnokrwistego, dramatycznego — a nagle wszystko — prawdziwego. Sukces artystyczny „Piątki” jest prostą konsekwencją odwagi, z jaką autorzy zaatakowali palący problem społeczeństwa.

Przy tym sprawa niezmiernie ciekawa: konflikt jest z natury swej polityczny. Sedno jego stanowi starcie się dwóch światów przedzielnym wyraźną linią polityczną. Każdy z nich wyciąga rękę po tę samą grupę ludzi. I oto okazało się, że dojrzałe dzieło artystyczne mieści w sobie — na tej czysto politycznej płaszczyźnie — pełny obraz człowieka, jego moralności, jego obyczaju. Cóż za argument na tych „anty-schematystów”, którzy przez doszukiwanie jakiegoś marginesu z dziedziny „prywatno-moralnej” chcieli rozszerzyć kusą — ich zdaniem — i prostacką trochę, polityczną stronę konfliktu przebiegającego przez nasze życie.

Drugiego źródła siły „Piątki” dopatruję się w wyborze bohaterów. Po raz ostatni wracam do zetknięć z „Zalogi”. Odnosiło się wrażenie, że miarą ich ambicji było uzyskanie pochwały od komendanta, a miarą zaś, które w nich tkwiło — owo wieczorne wyjście na miasto. Tacy bohaterowie nie mogli chyba oddziaływać na wyobraźnię widza, zwłaszcza widza młodego. Tymczasem w „Piątce” mamy chłopców o niecodziennych indywidualnościach, żądnych wrażeń, żądnych wielkich sukcesów. Dokonywające się w bohaterach przemiany — to właśnie wzrastanie tego, co w nich najlepsze, najsłabsze, najsłabsze. Czy to także stanowi nowum w naszej kinematografii? Czyżby bohaterowie poprzednich filmów, łącznej z Jankiem Gazdoniem, a nawet Błażem Plewą, nie dojrzewali, nie rośli?

Trudno oprzeć się niekiedy wrażeniu, że w dotychczasowej praktyce naszej kinematografii umiawiano się co cichutku, że ponieważ żyjemy w dobie socjalizmu, każdy bohater jest już po trochu ukształtowany politycznie i moralnie — a do zrobienia pozostało już bardzo niewiele. Wystarczy takiego bohatera nieznacznie potrącić, a spadnie — jak dojrzała gruszka — do koszyka z pozytywnymi bohaterami. Do tego też w gruncie rzeczy sprowadzały się wysiłki scenarzystów budujących perypetie filmowe. W „Piątce” mamy dzikusów politycznych i moralnych, odgrzanych tysiącami barier od swego społeczeństwa i od socjalizmu. Przeprowadzić ich przez te barery, zrobić ich — w ostatecznym rachunku — pozytywnymi bohaterami, to ambitne, trudne i nowe zadanie, któremu twórcy sprościli.

Zastanawiano się kiedyś, dlaczego kulak czy sabotażysta robi w pojedynkę tyle zamieszania, tyle szkód, że starcza tego i na 300-stronnicową książkę, i na pełnometrażowy film. A Milicja Obywatelska? A społeczeństwo? Czyż nikt nie potrafił obezwładnić wroga zanim jego działalność zaczęła przynosić szkody? Pytania takie można postawić i pod adresem „Piątki”. Tylko, że tu odpowiedź będzie jasna: wróg pozornie tylko działa w pojedynkę. W istocie działa wspólnie z piątką bohaterów. Zasadniczą sferą jego działania nie jest podkładanie dynamitu pod trasę W—Z, ale oddziaływanie na psychikę tych, któ-

rzy mogą stać się zarówno bohaterami pracy, jak i przestępcami. Tkwi w nich wybujała ambicja, żądza wyższości się, odziedziczony po okupacji czynniki.

Oto dziedzina, na którą potrafił szkodzić oddziaływać zresztą, raz pieniędźmi, raz frazesem politycznym. Na tym polega jego siła, że ma i może jeszcze mieć sprzymierzeńców o krok od nas. Z tej prostej prawdy społecznej, prawdy o psychicznym oddziaływaniu szkodnika, bierze się w filmie ów ciekawy nurt psychologiczny.

Niesposób mówić o osiągnięciu artystycznym, jakie stanowi „Piątka z ulicy Barskiej”, ograniczając sprawę tylko do scenariusza. Dojrzałemu scenarzystowi podporządkowany jest warsztat realizatorski. Jedna sprawa wysuwa tu się jednak na czoło: strona aktorska „Piątki”. Film ma bohatera zbiorowego. Stanowi to trudny problem indywidualizowania pięciu podobnych pozornie do siebie chłopców. Problem ten został rozwiązany zarówno przez trafny dobór aktorów do ról chłopców, jak i przede wszystkim przez ich grę, indywidualizowaną żywiołowo naturalną. Doprawdy stanowić ona może dla szeregu aktorów starszego pokolenia cenny przykład zachowania się aktora przed obiektywem.

Odnotujmy nazwiska: Tadeusz Janczar, który zdobył tu szlify dojrzałego aktora, Marian Rułka, Włodzimierz Skoczylas i rewelacyjny, młodzieńczy Andrzej Kozak. Nie ulega wątpliwości, że sukces „Piątki” jest w znacznej mierze ich sukcesem. Osobna sprawa to kreacja Aleksandry Ślaskiej. Nieco deklaracyjna postać Hanki, dzięki skupionej grze — tak charakterystycznej dla świetnej artystki — nabrała głębi i wyrazistości. Wydaje się, że między innymi w aktorskiej stronie filmu dopatrywać się można tych specyficznych cech reżyserii Aleksandra Forda, o których można już chyba mówić, że stanowią styl. Również niezmiernie ciekawa plastyczna strona filmu może być przyczynkiem do rozważań nad stylem świetnego reżysera.

I jeszcze jedno nowum: bodaj po raz pierwszy w polskim filmie współczesnym muzyka — będąca dziełem Kazimierza Serockiego — stała się pełnowartościowym elementem budowy dramatycznej. Niezwykle podporządkowana wydarzeniom już od czołwki wprowadza widza w skomplikowany świat młodych zapaleńców.

Odkał wiadomo, że w roku 1954 ukaże się na ekranach około 10 filmów polskich, zwykło się mawiać: rok bieżący przynosi naszej kinematografii przełom. Ostrożnie jednak dodawano: w każdym razie przełom ilościowy. Sądzę, że czas powiedzieć: rok 1954 stanowi również przełom jakościowy, bowiem „Piątka z ulicy Barskiej” znaczy wyraźny etap w rozwoju sztuki filmowej w Polsce.

Wyżej opublikowany artykuł jest zapoczątkowaniem dyskusji na temat „Piątki z ulicy Barskiej” w dyskusji tej omówimy osiągnięcia i braki tego filmu. Red.

literaturę

nać pożyczki. Często chłopci ociągają się przed tym, tkwi w nich nieufność spotęgowana latami ciężkich doświadczeń. Obowiązkiem aktywnego powiatowego, ludzi odpowiedzialnych za odcinek kolektywizacji, jest przełamanie tych oporów, uświadomienie chłopów, gdzie leżą ich najbardziej żywotne interesy, przezwyciężenie ich bierności. Nie na podpisaniu deklaracji kończy się walka o kolektywizację wsi, a tak niestety często postępują instruktorzy rolni, że ich patronat nad spółdzielniami kończy się z momentem formalnego ich założenia. Tymczasem najbardziej odpowiedzialne zadanie, najcięższy okres pracy jest dopiero przed nimi. Roztoczenie opieki nad młodą spółdzielnią stawiającą dopiero pierwsze kroki, instruowanie jej zarządu w zakresie agrotechnicznym to konieczność, której wymaga dobro ruchu spółdzielczego.

Spółdzielnia produkcyjna jako nowa jednostka życia społecznego staje się w dółnią nowych, przekształconych w swej formie konfliktów. Stłumiony nawyk posiadania zastępuje bierność członków wobec interesów kolektywu. Często znika u chłopów charakterystyczny rys zapobiegawości, stłumiona zostaje żyła gospodarska. Nie trzeba dodawać, że te zjawiska stoją na przeszkodzie rozwojowi spółdzielni. Nie trzeba dodawać, że to zubożenie nie w stosunku do spółdzielni działających w kierunku na rozwój socjalistycznej świadomości. O tym zapominają nie tylko instruktorzy i działacze w terenie. Można ich pocieszyć. O tym zapominają również pisarze, którzy swe powieści zawsze kończą na zebraniu założycielskim. Walka z kulakami — to temat. Agitacja chłopów — to temat. Wjazd traktorów na pola — to temat. Ale z chwilą złożenia przez chłopów deklaracji członkowskiej powieść musi się skończyć. Dalej nie ma ani walki, ani konfliktów. Są już tylko co najwyżej „przyżyciki” w świadomości spółdzielców. Z samych przyżycików powieści napisać się nie da. Tak więc teoria „bezkonfliktowości” zatrumfowała ku szkodzi współczesnej literatury.

Spółdzielcom w Polanach mogą przyjść z pomocą nie tylko instruktorzy powiatowi, ale i pisarze. Wówczas, gdy sprzeczności — które chłop pokonuje w praktyce — literatura ujawni. Nie obawiamy się literack-

tyzmu. Czytelnikowi bynajmniej nie jest potrzebny pełny kodeks postępowania na dzień powszedni, niedziele i święta. Pragnie on natomiast książki, która byłaby przedłużeniem jego losów, ich wiernym obrazem, w którą by zosłał wpisany. Tymczasem jeszcze nie on, jedynie jego błąd cieni snuje się na kartach współczesnych powieści.

3

Odwiedziliśmy w Wierzbicy tokarza, byłego dyrektora POM-u, który dwa lata temu debiutował jako prozaik, a obecnie napisał powieść o cementowni. Należy on do całkiem nowej formacji w naszej literaturze. Chłopi okoliczni mówią o nim „poeta, który po wsach lała i ludzi do kolchozów namawia”. Celemiarze co dzień odszukują w kieleckim dzienniku odcinek powieści o sobie. Na tej lekturze zaskoczyliśmy również Marię Małek. Charakterystyczną cechą nowej formacji literackiej jest jej integralny związek ze środowiskiem, dla którego tworzy. To już nie są literaci wyskakujący w „teren” po tematy, po realia, po problemy jak po sól do sklepu. Żyją sprawami opisywanego środowiska. Z kolei środowisko to łoży im ich utworach. Cały kapitał ich pisarskiego autorytetu obrócić jest w argumenty doraźnej agitacji. Niejednemu agitatorowi pozazdrościłby owemu pisarzowi gdyby go ujrzał w rozmowie z chłopami, jak bez poży, bez zenady i krępującego dysansu przeprowadza z nimi zebrania, gawędzi, po prostu agituje.

Ta formacja literacka rodzi się nie w sztucznych inkubatorach kół młodych i nie w kawiarniach, jest bez porównania bardziej związana z dziejącą się rzeczywistością niż to jeszcze sobie niektórzy profesjonalistcy wyobrażają. I trudno chyba nie przyznać braku wyobraźni krytykom, którzy ją bagatelizują. Bo isto nie formacja ta rozwija się „dziko”, żywiołowo. Żaden z autorów krytyki tyle też wylewający nad schematyzmem, żaden spec tak chętnie rozprawiający o twórczości czołwików naszej literatury — nie schylił się jeszcze z uwagą i naleźnym pietyzmem nad kartkami książek powstałych w wielkim trudzie i męzole, nad kartami książek, które tego pietyzmu są warte. Słyszysz się utyskiwania krytyków, czyta się ich grymas-

BOGDAN WOJDOWSKI

ne uwagi, narzekania na kunszt, rzemiosło, formę, często tylko upozorowane troską o jakość i wysoki poziom. Bywa i tak, że krytycy zwyczajnie piszą „donosy” na książki do wydawnictwa. Bo jakże inaczej określić artykuły, które bez należytej argumentacji, bez analizy wynoszą w prasie, czy książka powinna czy też nie powinna się ukazać drukiem i wnioski te kierują pod adresem wydawnictwa.

Obrona rzemiosła! Czy to aby nie za mało? Czy rolę krytyki można sprowadzić wyłącznie do obrony rzemiosła — na to odpowie odmownie samo życie. Nie ufajmy krytykom, którzy uspokajająco powtarzają nam: „ideologia już jest — tylko warsztatu nie ma”. Bowiem — często pod pozorem obrony wysokiej jakości rzemiosła przemycają swe subiektywne gusty. Walczą często o walory niepoprawne, związane z kategoriami treściowymi starej literatury mieszczańskiej i absolutyzując te walory — wbrew nawet swym intencjom — stają na zawadzie nowego procesu literackiego. Obśmy nie musieli im kiedyś odpowiedzieć formułą na formułę: „warsztat już jest — ale ideologii nie ma”.

Ale nie przeceniamy roli krytyki, jej sarkania, zale, poręctwa nie mogą powstrzymać obiektywnych procesów, jakie zachodzą w świadomości, procesów, jakie e przynosi samo życie. Prośody, pisarz, o którym wspominałem na wstępie, otrzymał po wydaniu swej pierwszej książki list od bohaterów negatywnych swej powieści z pogrozkami, że zaiste winną w wydawnictwie. Zainteresowani w łatwości rozpoznania się w dziele literackim i mieli wielką pretensję do autora. Treść tej pretensji zamknęli w nawywnym zdaniu: „gdyby autor zaczął jeszcze pół roku, tylko pół roku, z wydaniem powieści nie musiałby pisać o nich jako o bohaterach negatywnych”. Zanim książka ukazała się drukiem — sytuację w opisywanej wsi zmieniły się diametralnie. Bohaterowie poczuili się sposposponowani. Tak życie wyprowadza literaturę. Szkoda więc, że jeszcze tak często pisarze większy lek odczuwają przed niedoskonałością rzemiosła niż przed życiem, które ich wyprowadza i dystansuje. Ale to już na pewno wina krytyków,

NAD PROJEKTAMI ŚRÓDMIEŚCIA

POKAZ IDYSKUSJA

EDMUND GOLDZAMT

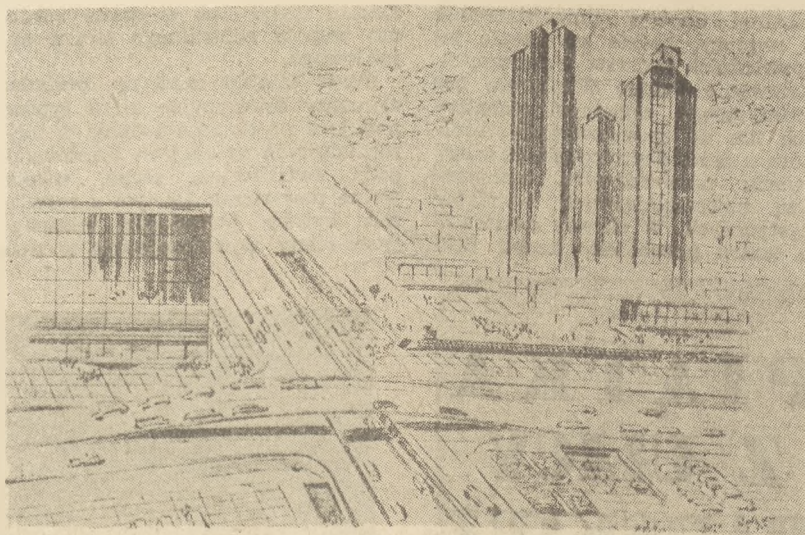
Przyjeżdżny docierający do Warszawy koleją, lub jedną z podmiejskich szos, pasażer tramwaju na trasie któregośkolwiek ze stolicznych mostów, przechodząc Al. Stalina, młodzi bywalcy Ogrodu Zoologicznego lub nowego parku na Powiślu — wszyscy ci ludzie dostrzegają z daleka nad miastem pion Pałacu Kultury i Nauki bezwiednie zatrzymują wzrok urzeczony lapidarną i pełną poezji sylwetą wieżowca. „Trzeba stwierdzić chyba zupełnie szczerze — mówił Bolesław Malisz podczas dyskusji architektów nad projektem Centrum — że gmach ten widziany z daleka stał się czymś, co rozumiemy jako przyszłą Warszawę”. I rzeczywiście — powstanie strzelistej kolosy w ciągu dwudziestu miesięcy to nie tylko wyczyn techniczny, lecz zarazem narodziny nowych bogactw moralnych. Pałac mocno wrósł fundamentami w głębinę warszawskich gruntów — niemniej głęboko obraz jego utrwalił się w świadomości obywateli Warszawy i kraju, dla których stał się upostaciowaniem stolicy, emblematem jej nowej historii.

Sylweta Pałacu pokazuje nam dziś zewsząd, gdzie leży centrum Warszawy. Lecz kształtu i rozmachu tego centrum powstającego na

gruzach starego śródmieścia mogliśmy się tylko domyślać. Niedawny pokaz roboczy projektów centrum stolicy unaoocnił na materiale bieżących opracowań i wariantów projektowych kierunek poszukiwań tego największego założenia architektoniczno-urbanistycznego Polski Ludowej.

OD „CITY” DO PLACU STALINA

Zanim wejdziemy jednak do Sal Redutowych w Warszawie, zanim znajdziemy się wśród dziesiątków i setek planów, elewacji, alternatyw, rzućmy okiem na to, co nie znalazło się w salach Teatru Narodowego, a co poprzedziło pracę autorów obecnego projektu. Temat śródmieścia był bowiem przedmiotem studiów od pierwszych miesięcy po wyzwoleniu ilustrując w kolejnych fazach opracowań znamienne ewolucje samego pojmowania przez architektów centrum stolicy i podejścia do jego formy. Pierwsze studium śródmieścia — praca M. Nowickiego z r. 1945 — traktowała temat jako „emanację widoku współczesnego wielkiego miasta, rewii reklam i ruchu śródmieścia”¹⁾ jako „teren, gdzie skupia się wielki handel”, „przedsiębiorstwa samo-



Wykonany w r. 1948 szkic skrzyżowania ul. Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi i ukształtowania terenów obecnego placu Stalina

1948

1954

w r. 1946, było wręcz nastawienie architektury „na wrażenia człowieka jeźdźcy” a więc istoty powstałej ze zrosnięcia człowieka z samochodem, którego szybkość staje się schematyczną miarą niemniej wyjątkowej treści architektonicznej miasta. Przeprowadzony w r. 1948 konkurs na zespół gmachów centrali „Spółem” i PZUW, które miały stanąć mniej więcej tam, gdzie dziś wznosi się Pałac Kultury i Nauki — przyniósł szereg upiornych obrazów centrum Warszawy kształtowanych przez serię kilku drapaczy — ekstrawaganckich maszynierii pozbawionych chociażby aspiracji piękna. W następnym jeszcze roku szkice centrum nie odbiegają od pojęć i ideałów estetycznych tego konkursu.

Wszystkie te chorobliwe i nierealne wizje znalazły odbicie w zespołach zabudowy śródmieścia, które w latach tych były projektowane i realizowane. Stał się więc Centralny Dom Towarowy. Stał się zespół pl. Wareckiego i ul. Kruczej. Te gmachy są niechlubnymi dokumentami kierunku architektonicznego, który je wydał. Są przestroga. Zmiany w kierunku rozwojowym architektury polskiej w latach 1948/49 natchniały odbijają się na projektach centrum. W referacie o sześciolletnim planie odbudowy stolicy towarzyszył Bolesław Bierut nakreślał treść i rolę założeń śródmiejskich Warszawy: „Będą to arterie tętniące pełnią bogatego, wielobarwnego życia, miejsce wielkich masowych zebrań i manifestacji w dniach uroczystych i ważnych dla całego społeczeństwa. Tu skupiać się będzie życie społeczne i kulturalne nie tylko stolicy, ale i całego kraju”²⁾. I już albumowe wydanie referatu towarzyszą Bieruta uzyskuje szatę ilustracyjną wykonaną przez architektów warszawskich w roznaniu nowych treści i nowej formy stołecznego centrum. Zamiast „rewii reklam i ruchu śródmieścia” — obrazy wypełnionych manifestującym tłumem monumentalnych forów stolicy. Zamiast „przedstawicielstw samochodowych” i obrazów „rozwoju techniki o zdehumanizowanym już rozmachu” — zjawia się koncepcja wielkiego ośrodka kulturalno - społecznego, któremu ma przewodzić zespół zabudowy Centralnego Domu Kultury.

Punktem zwrotnym w rozwoju koncepcji centrum stołecznego staje się dar radziecki — zrealizowana w ciągu niccałych dwóch lat świetna bryła Pałacu Kultury i Nauki. Autorzy jego podejmują dotychczasowe przemyslenia architektów warszawskich, rozwijają pozytywne wyniki poprzednich poszukiwań dotyczące przede wszystkim lokalizacji centrum miasta w powiązaniu ze skrzyżowaniem ul. Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. W oparciu o te zdobycze, o bogactwo postępów tradycji architektury polskiej, na gruncie osiągnięć architektonicznych Kraju Rad — powstaje koncepcja centralnego gmachu „wnosząca w strukturę Warszawy z gruntu nowe walory: potężny rozmach i wielkomięską skalę oraz przesłanki zjednoczenia obrazu miasta pod wpływem czytelnej, jednoznacznej dominaty.

Otwarta pozostawała sprawa otoczenia Pałacu Kultury i Nauki i powiązania go z zespołem założeń śródmiejskich. Ten problem staje się tematem konkursu przeprowadzonego w r. 1952, konkursu, który nie dał jednoznacznej koncepcji całości, choć wniósł wiele myśli i konkretnych motywów formalnych, wyzyskanych następnie przez zespół autorski powołany do projektowania centrum Warszawy w początku 1953 r. Teren, na którym w wizjach projektowych z lat 1945-48 wyrastało makabryczne „city” — zajmujące wielki zespół społecznych placów i parków — plac im. Stalina.

1) Cytaty zaczerpnięte z opisu projektu Nowickiego w Nr 2 „Skarpy Warszawskiej” z r. 1945.
2) B. Bierut, Sześciolletni plan odbudowy Warszawy w 1949, str. 29.

PRZECHADZKA PO PROJEKTACH ARTERII ŚRÓDMIEJSKICH

Makieta w skali 1:500 pokazuje nam układ przestrzenny tego zespołu i jego powiązania z miastem. Plac Stalina — to właściwie cały węzeł przestrzeni parkowych i placowych, spletych centralną bryłą wieżowca. Najuroczystsza z nich — wielki plac demonstracji — zawarta jest między Pałacem a ul. Marszałkowską i rozciąga się na długości 700 m od linii hotelu Polonii przy Al. Jerozolimskich do ul. Świętokrzyskiej. Właściwy teren wielkich pochodów ludowych wyodrębniony zostaje z całości placu przez lekkie obniżenie poziomu (o 80 cm) między jezdnią ul. Marszałkowskiej a trybunami PKN oraz przez założenie wysokiej zieleni od strony ul. Świętokrzyskiej i Alei. Powstaje w ten sposób wielka tafa kamienna o długości 350 m i szerokości 80 m, na którą wprowadzać będą demonstrantów wytyczone wśród zieleni przejścia. Teren ten łączy się przestrzennie z uroczystym placem — cour d'honneur, położonym przed głównym portykiem wieżowca; w centrum tej przestrzeni, na tle frontalnego widoku Pałacu, stanie pomnik Józefa Stalina.

Drugi ważny element zespołu pl. Stalina — to obszar parkowy położony między Pałacem Kultury i Nauki a ul. Świętokrzyską; trzeci — to zespół zieleni od strony Al. Jerozolimskich. Powstanie on w wyniku przesklepienia wykupu linii średnicowej i zasadzenia zieleni na płycie tunelowej (której konstrukcja przewiduje konieczność umiejscowienia na niej ziemi, krzewów i trawników). Na narożniku Al. Jerozolimskich i Al. Marchlewskiej stanie Dworzec Centralny, który zajmie teren aż do linii ulicy Emilii Plater. Zespół budynków tej samej wysokości projektowany jest symetrycznie od stron ul. Świętokrzyskiej. Między nimi wyrasta przed salą kongresową Pałacu obszerny plac z monumentalnym basenem wodnym. Plac ten mógłby obsługiwać zarówno Dworzec, jak i imprezy odbywające się w sali kongresowej.

Gigantyczny czworobok placowoparkowy, kształtujący się wokół Pałacu i liczący ponad 50 ha wiąże się z miastem czterema arteriami przebiegającymi po obrzeżu zespołu. Są to: ul. Marszałkowska, Al. Jerozolimskie, Al. Marchlewskiego, która już niedługo przedłużona zostanie dalej w kierunku Mirowsa i Muranowa oraz ul. Świętokrzyska mająca się stać w niedalekiej przyszłości ważną arterią stolicy, prowadzącą z przemysłowej Woli do centrum i nowoprojektowanego mostu na Wiśle w rejonie ul. Tamka. Rolę głównej arterii miasta zachowa, rzecz jasna, ul. Marszałkowska, a zwłaszcza jej centralny odcinek od pl. Konstytucji do pl. Dzierżyńskiego, rozszerzony do 63 m, to jest uzyskujący na całej swej długości rozpiętość zrealizowanego MDM-owskiego fragmentu arterii między ul. Wilczą i Piękną. Projekt przewiduje zmianę przebiegu przedłużenia ul. Marszałkowskiej przez ogród Saski: na miejscu malowniczych, a niedogodnych dla życia i ruchu „parkwayów” — powstanie tu trasa prostoliniowa, załamująca się jedynie na przecięciu z główną aleją Ogrodu Saskiego i wbiegająca potem na pl. Dzierżyńskiego.

Oprócz czterech arterii przebiegających po obrzeżu pl. Stalina jego wnętrzu łączy się z otaczającymi terenami śródmieścia przez osie widokowe, nakierowane z czterech stron na frontalne ujęcia Pałacu. Jedną z nich otworzy widok Pałacu Kultury i Nauki od strony Nowego Świata (pomiedzy ul. Warecką i Rutkowskiego — Chmielną)

przebiegając mniej więcej wzdłuż kierunku obecnej ulicy Kłowieckiej (Złotej) i Górskiej w formie ozienionej alei o szerokości 30 m. Przeciwległa szeroka oś otworzy widok Pałacu od Woli (od ul. Towarowej), doprowadzając do placu przed dworcem i salą kongresową. Trzecia oś powiąże plac Stalina z terenami na przedłużeniu osi Saskiej w okolicy Hal Mirowskich oraz z placem Grzybowskim. Wreszcie czwarta oś biegnąca obecną ulicą Pankiewiczą i jej przedłużeniem otworzy frontalne widoki na Pałac od strony ul. Wspólnej. Zagadnienia urbanistyczne projektu centrum opracował specjalny zespół autorski w składzie: K. Marczewski, J. Pelka, St. Rychłowski, J. Sigalin.

A teraz w drogę. Od makiety pozwalającej na zorientowanie się w układzie całości, pokaz prowadzą nas szpalarami planów, wyobrażającymi arterie śródmiejskie z całym bogactwem ich elewacji. Oto wlot do ul. Marszałkowskiej ze Saskim. Dwa potężne bloki mieszkalne dekorowane portykami kształtują uroczyste propyletego najbardziej śródmiejskiego odcinka arterii (projektowanego przez zespół W. Kłyszewskiego, J. Mokrzyńskiego i E. Wierzbickiego).

Dochodzimy do skrzyżowania z ul. Świętokrzyską, do narożnika pl. Stalina. Wielka makieta w skali 1:100, w której bryła Pałacu Kultury i Nauki osiąga niemal 2,5-metrową wysokość, pokazuje szczegółowy rozwinięcia placu demonstracji, otoczenia pomnika Józefa Stalina, rozbudowy hotelu Polonii itd. Na przeciwko Pałacu — dziesięć alternatywnych projektów ukształtowania zabudowy ul. Marszałkowskiej między ul. Świętokrzyską, a Alejami czeka na dokonanie wyboru i decyzji. Wrócimy jeszcze do nich — sprawa bowiem rozwiązania tzw. wschodniej ściany pl. Stalina, tego najważniejszego odcinka zabudowy centrum leżącego vis à vis Pałacu — ma szczególnie doniosłe znaczenie.

Dalej — południowa część Marszałkowskiej łącząca plac Stalina z pl. Konstytucji. Projektują ten odcinek architektki Z. Stepiński i J. Knothe, operując tu jednorodnym systemem podziałów. Przed nami — kandelabry placu Konstytucji, których ogromne zdjęcie umieszczone na wylocie szpalery planów zamyka „ciąg ul. Marszałkowskiej”.

Wróćmy jednak do placu Stalina i zagadnienia jego ściany wschodniej, która stała się przedmiotem wielkiego konkursu architektonicznego. 700 metrową tę elewację postanowiono podzielić na trzy wielkie gmachy: środkowy, zawarty między Rutkowskiego (Chmielną) i Sienkiewicza, ujmujący w swej części centralnej wlot ul. Kłowieckiej (Złotej), oraz dwa boczne, na odcinkach Świętokrzyska — Sienkiewicza i Rutkowskiego — Aleje. Zgodnie z warunkami konkursu zwycięzcy uczestnicy cofają z lekka do tyłu budynek centralny, dając wyraz obecności na przeciw wielkiego wieżowca. Większość autorów traktuje wszystkie trzy budynki jako bryły horyzontalne, widzące w tym dopełnienie pionowej bryły Pałacu. Różnie podchodzą autorzy projektów do zagadnienia skali architektonicznej zabudowy — tj. wyboru modułu wielkości i rozstawu okien, kolumn i innych elementów struktury budynku. Jedni — jak przede wszystkim J. Bogusławski — przystosowują ją do powiększonego modułu Pałacu Kultury i Nauki; drudzy — jak A. i B. Koseccy, P. Biegański i inni operują drobniejszą siatką strukturalną, analogiczną jak w otaczającej, „normalnej” zabudowie miejskiej. Duża część autorów (A. i B. Koseccy, zespół E. Wierzbickiego, B. Szmida, W. Rem-

TWÓRCZY NURT

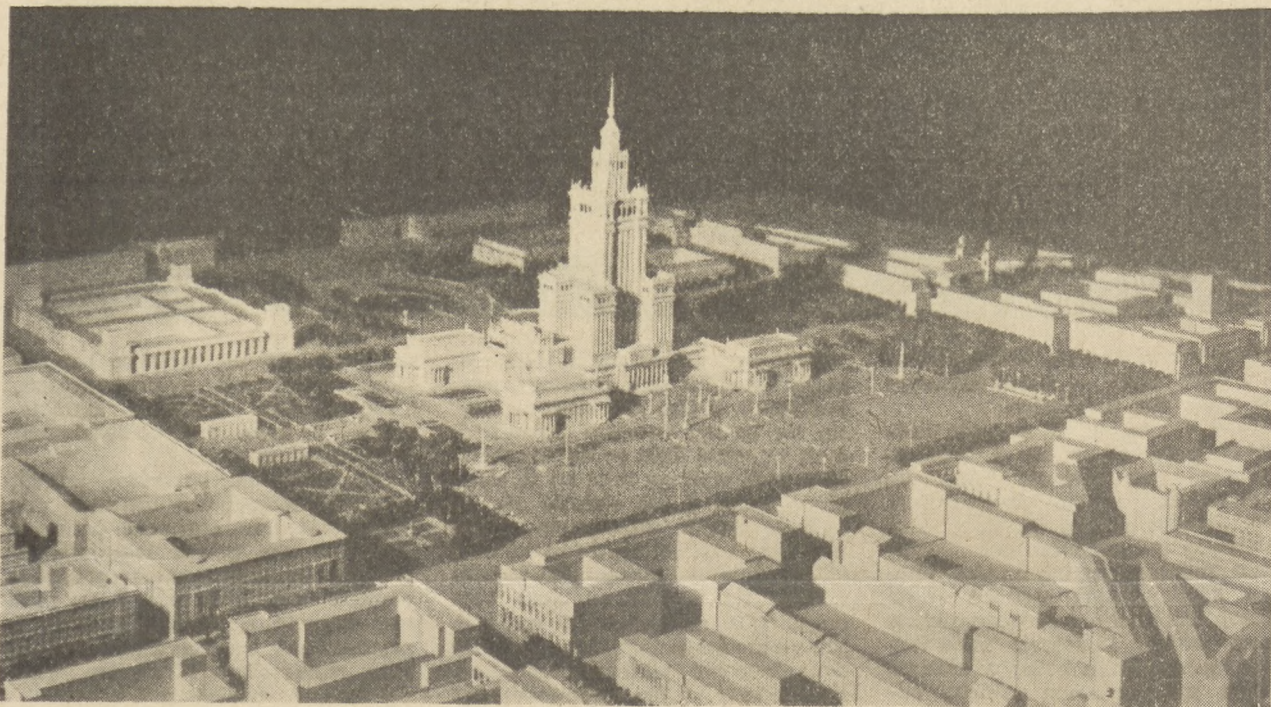
Wielka dyskusja architektów, zorganizowana przez SARP w dniu 16 lutego nad projektami Śródmieścia Warszawy, ujawniła gorące zainteresowanie świata zawodowego olbrzymim wydarzeniem, jakim w życiu stolicy, w jej projektowanym planowo rozwoju wielkomiejskim, jest fakt powstawania centralnego ośrodka urbanistycznego. I jeśli mogliśmy obserwować ożywiony nastrój warszawian, masowo zwiędających pokaz projektów w Salach Redutowych, jeśli widownia Teatru Narodowego w dniu dyskusji wypełniona była bez przerwy po brzegi — w ciągu jedenastu godzin trwania dyskusji — architektami śledzącymi z zapartym oddechem jej przebieg, to działo się tak dlatego, że wszyscy, aż do ostatniego mieszkanka stolicy, wiemy doskonale, że projekty te nie są dynamiem oparte na rojeniach lub mrzonkach, że nie są to nieizoszczalne „szklane domy” Żeromskiego i że zostaną one bezwarunkowo w zaplanowanych terminach i etapach zrealizowane.

Przyznaję, że wchodziłem na teren pokazu nie bez tremy. W myśli snuty się natrętne pytania, czy w obliczu zupełnej wyjątkowości zadania, w skali nigdy jeszcze na ziemiach naszych nie spotykanej, uczestnicy turnieju nie zatracą się, po prostu nie zagubią w labiryncie szczegółów? Czy potrafią — oni, którzy przecież wzrastali w atmosferze międzywojennej z wszystkimi tego okresu obciążeniami —

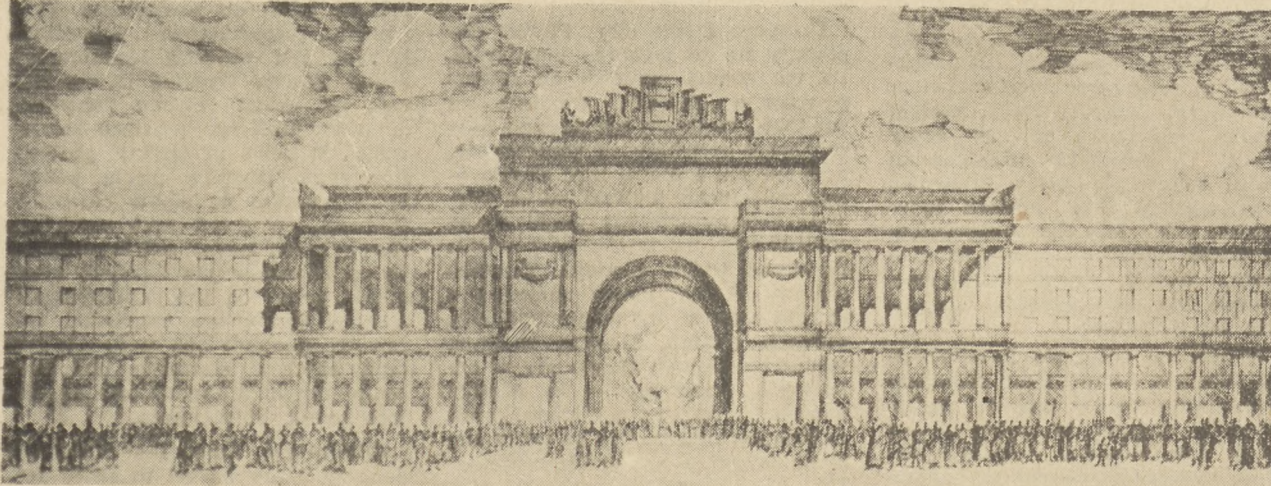
sprostać zadaniu zrodzonemu przez epokę obecną? Czy stać ich będzie na bezwzględnie szczerze i bezkompromisowe odrzucenie resztek formalistycznych obciążen przeszłości? Czy architekci zdolają poddać się nakazowi nierz daleko idącego zdyscyplinowania kompozycji w związku ze sztywnymi, ograniczającymi warunkami programu, wymagającymi wyrzeczeń? Czy winną w rytm ideowy założeń? Wreszcie, czy Warszawa Guberniejska, Agniera, Szeregiera, Kubińskiego i Corazkiego znajdzie w indywidualnościach twórczych obecnego pokolenia architektów godnych następców i kontynuatorów?

Niepodobna nie przyznać, że uczestnicy turnieju architektonicznego dzielnicy Śródmieścia wstąpili na właściwą drogę. Łacińskość form klasycznych bliska jest sercom polskim; a już w szczególności my, warszawianie, zrośnięci od dziecka z architekturą wieku Oświecenia i z dziełami Corazkiego, w klimacie architektury klasycznej z pewnością nie poczujemy się obco. Ciężkimi, strzeliście wyrastającymi Pałac KiN zyska prawdziwą uprawę w poważnym, monumentalnym obramowaniu zabudowy placu

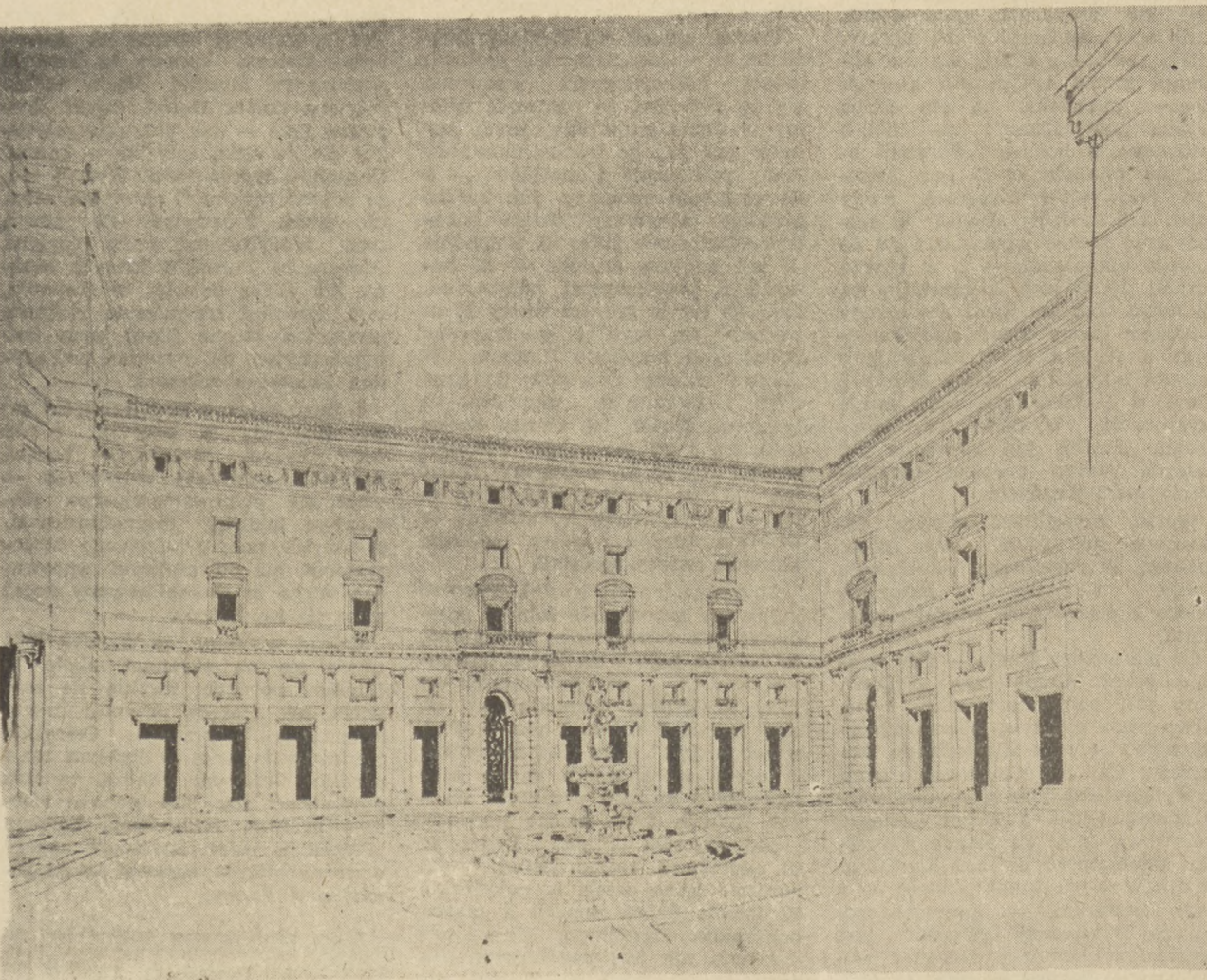
Doszlifowanie projektów na pewno będzie okazją dla autorów do wprowadzenia uproszczeń, zwłaszcza w zakresie detalowania form. Wydaje się, że w niektórych momentach zastosowanie umiaru np. w operowaniu elementem kolumny, da wyniki korzystne. Zarazem należy sobie ży-



Makieta placu Stalina i centrum Warszawy (1954 r.). Na pierwszym planie skrzyżowanie Alei Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej.



Wlot ul. Kłowieckiej (Złotej) do placu Stalina wg. alternatywy A. i B. Koseckich.



Dziedziniec na zapleczu placu Stalina (przy wlocie ul. Widok) wg. projektu Z. Stepińskiego i J. Knothea.

SOCJALISTYCZNEJ WARSZAWY

biszewskiego) zastosowała motyw wielkiego łuku triumfalnego jako motywu centralnego odpowiadającego pionowi PKN i zamykającego osi ulicy Kniwskiego. Praca Z. Stępińskiego i J. Knothe wysunęła ciekawą myśl wytworzenia w centrum placu motywu ażurowej kolumnady; inne prace operują formami prześwitu lub propyle.

ZASTRZEŻENIA I SUGESTIE

Nie trzeba podkreślać wagi zadania, którym obarczeni zostali autorzy projektu centrum. Dyskusja nad tym projektem przeprowadzona 16 lutego br. w sali Teatru Narodowego w obecności tysięcy architektów — dyskusja ożywiona i obfitująca w ostrą niekiedy krytykę była wyrazem poczucia współodpowiedzialności środowiska architektonicznego za jak najwyższą jakość zabudowy Śródmieścia Warszawy. Wypowiedzi zarówno indywidualne, jak i przygotowane zespołowo przez koła terenowe SARP dotyczyły całego wachlarza problematyki centrum tak od strony urbanistycznej, jak i architektonicznej. Zwracano więc uwagę na konieczność bardziej wnikliwego i ograniczonego sprzężenia placu Stalina z otaczającą siecią uliczną. Wskazywano na niebezpieczeństwo powstania „oparkanionego” płaską zabudową wielkiego kwadratu placowego, za mało wtopionego w organizm miasta. W związku z tym sugerowano potrzebę poszukiwania większej plastyki w obudowie placu, urozmaicenia jej sylwetki i starannego opracowania wlotów istniejących ulic. „Ktoś ze zwiedzających zauważył — mówił St. Jankowski, przedstawiciel architektów Biura Urb. Warszawy — że wygląda to tak, jakby wyburzono w Śródmieściu duży teren, na którym postawiono Pałac, po czym odbudowano ściany, które są nadal ścianami dawnych ulic, a nie ścianami nowopowstałego placu. Trzeba iść po drodze bardziej przestrzennego rozwiązania tej architektury. To, co zrobili koledzy Koseccy cofając plastycznie jeden z budynków w obudowie ul. Świętokrzyskiej, to, co pokazuje w swym projekcie kol. Bogusławski, głęboko modulując ścianę wschodnią — to jest słuszną drogą, którą należałoby rozszerzyć”.

Ze sprawą tą łączy się i problem następny — problem nieprzewidywanej do końca koncepcji placu Stalina jako wielkiego parku, wewnątrz którego — bez związku z otaczającymi arteriami — wznosi się Pałac i sprzężony z nim bezpośrednio plac demonstracji. „Plac został b. mocno obsadzony drzewami — podkreślał przedstawiciel pracowni staromiejskiej, arch. St. Chrabalski — nabierając przez to charakteru parkowego. Wydaje się, że proponowane zadrzewienie zastąpi przed wzrokiem obserwatora, idącego wzdłuż magistrali, fragmenty Pałacu. Czy nie należałoby dokonać próby zagospodarowania placu również elementami przejrzystej architektury?”

Ogólny sprzeciw uczestników dyskusji, reprezentujących najrozmaitsze środowiska, wzbudziła sama kompozycja projektowanej na placu zieleni, zwłaszcza na obszarze od strony ul. Świętokrzyskiej. Autorzy zaprojektowali tu u stóp niebotycznego wieżowca — monumentu — malowniczy park o efektach sielsko-krajobrazowych, park, który — jak podkreślała Helena Syrkus — nazyłby podobny jest do nieorganizowanych podmiejskich zagajników, lub — jak mówił Jerzy Hryniewicz — do zdziczałych paryskich ogrodów. Jako antytezę tych niezrozumiałych w centrum stolicy tendencji wysuwano w dyskusji tradycję wielkiej szkoły ogrodowej Le No-

tre’a, tradycję regularnych ogrodów polskich XVIII w., oraz zdobycze radzieckie, jak chociażby świetne osiowe założenie zielone u stóp Uniwersyte-u Moskiewskiego.

Szczególnie gorąca i ożywiona dyskusja rozwinęła się wokół zagadnień architektonicznych, zwłaszcza wokół prac konkursowych na ścianę wschodnią pl. Stalina. Uznając na ogół wysoki poziom większości rozwiązań, uczestnicy dyskusji

rozwoju architektury polskiej na torach krytycznego wyzyskania dziedzictwa. Zarazem błędy i przestrogi form dekoracyjnych oraz widoczne tu i ówdzie obciążenia ekletyczne i secesyjne nie mogły nie wywołać zrozumiałego zaniepokojenia szeregu architektów. Obok dyktantów wskazujących konkretnie na te błędy, znaleźli się oczywiście mówcy, którzy przeszli do „uogólnień” podających w wątpliwość

nia mocy realizacyjnych w budownictwie; szkoda, że nie wykazali, jakie konkretne nowe zadania stawia wobec architektów nieuchronna i postępująca ciągle naprzód prefabrykacja. Niestety rozpatrywali oni postulaty nowych konstrukcji właśnie wyłączenie niemal od strony estetycznej, usiłując odnaleźć w nim kamień magiczny artystycznej treści naszych czasów. Nieprzypadkowo więc żonglerka pojęciami „postęp”

wyczarowali humanistyczną poezję Pałacu Kultury i Nauki — w Nowym Jorku rosną upiorne zwaliska kosmopolitycznych drapaczy. Mówili o tym, jak zniechęcony przez purystów detal klasyczny służy na przestrzeni dwóch tysięcy lat kolejnym formacjom i klasom rządzącym, zmieniając się i wzbogacając, lecz nie ginąc wraz ze zębą odchodzących ustrojów. Mówili, że „upolitycznianie” głowicy jońskiej

Niezwykle ciekawym momentem dyskusji były przemówienia autorów projektu. W odpowiedzi na pełne niewiary głosy, fałszywie współczujące „czterdziestolatkom”, którzy nagle zaprzęgli się do klasycyzmu, Eugeniusz Wierzbicki podkreślił nie zwykłe głębokie korzenie tego nurtu w architekturze polskiej i jego żywotność m.in. również w dwudziestolecie międzywojennym.

„Projektujemy najuroczystsze założenie — architektoniczne Warszawy i kraju — mówił Jan Bogusławski. Jakimi możemy operować formami? Musimy mówić językiem zrozumiałym i tym językiem jest następna ewolucja klasycyzmu. Poeta, który wynajduje wszystkie słowa, przestaje być zrozumiałym dla ludzi. Taki krótki okres panował w poezji, ale bardzo szybko się skończył. Mogę powiedzieć o pewnej sprawie prywatnej. W swoim czasie w roku 1948 stawaliśmy do konkursu na drapaczę w centrum Warszawy. Przy współpracy z inż. Chyroszem, doszliśmy do zupełnie nowej konstrukcji drapacza, niesłychanie mądrej, którą się wszyscy zachwycali. Dzisiaj dziękuję Bogu, że po wygraniu konkursu nie dostałem realizacji i że te drapacze nie stoją”.

Tak architekt Bogusławski podsumował pięcioletni okres swej pracy i twórczych poszukiwań, podsumował drogę ogromnej większości architektów polskich, którzy nie pozostali na pozycjach architektury CDT, lecz łamiąc się z trudnościami i oporami wewnętrznymi, wiecz- nie niezadowoleni ze swych osiągnięć i wiecznie młodzi w poszukiwaniach torują drogę do obrazu nowego miasta i nowego człowieka.

WÓWCZAS I DZIŚ

Projekt centrum i dyskusja nad nim znacząco niewątpliwie moment etapowy w rozwoju urbanistycznym i architektury polskiej. Gdy zesiłamy ten moment z kręgiem startu naszej architektury do nowego rozwoju na torach realizmu — ocenimy możemy jak zmieniła się sytuacja w ciągu tych 5 lat, o ile jej steśny silniejszy, bogatsi, dojrzalsi.

Przegląd projektów centrum odbył się w przededniu II Zjazdu naszej Partii, Zjazdu, który podsumuje jej drogę od Kongresu Zjednoczeniowego. Partii i jej polityce zawdzięcza nasza urbanistyka i architektura swój rozwój i rozkwit w ciągu tych lat; troska naszej Partii o rozbudowę i przebudowę miast polskich, o nadanie im pięknego, humanistycznego oblicza wywodziła zadania i kierunek rozwoju architektury polskiej.

Pięć lat temu na peryferiach Warszawy zaczynały wyrastać 3-piętrowe „siedla robotnicze”. Śródmieście leżało w gruzach. W pismach publikowano jeszcze projekty kosmopolitycznych drapaczy nieba przy ul. Marszałkowskiej.

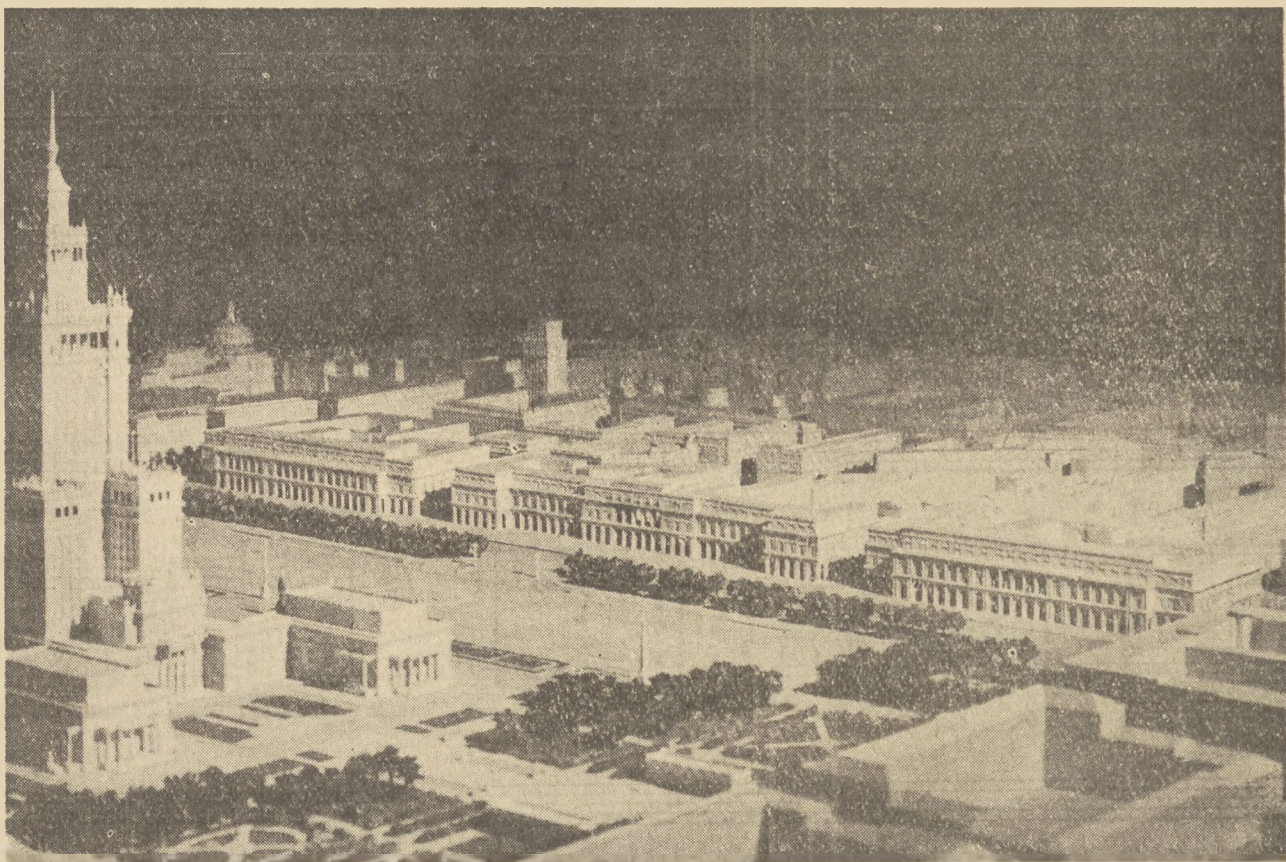
Dziś milionowa już niemal Warszawa kształtuje swe monumentalne centrum w oparciu o odbudowane już w zasadzie Śródmieście, o wielkomiejskie założenie MDM z placem Konstytucji, w oparciu o niebotyczny wieżowiec, symbol jeszcze ściślej i krzepnącej nadal przyjaźni z narodem radzieckim.

Pięć lat temu dojrzewał dopiero zwrot w naszej architekturze. Gdy w czerwcu 1949 r. w rezolucji Krajowej Partijnej Rady Architektów wysunięty został program walki o realizm socjalistyczny, a rzeczywisty tego programu przychodził na zebrania w biurach projektowych lub w SARP, mogli oni mówić jedynie o swych założeniach ideologicznych, teoretycznych i o pyrkach radzieckich. Nie zawsze zadowalało to słuchaczy. Chcieli dyskutować o konkretnych, bliższych sobie projektach, domagali się, by im wskazano konkretnie, co może być wzorem właściwej drogi. Oprócz bardzo specyficznego przekładu Trasy W-Z trudno było cokolwiek im wskazać.

Dziś sytuacja zmieniła się diametralnie, a świadczy o tym dowodem chociażby projekt centrum Warszawy i wielka dyskusja nad tym projektem. W projekcie i w konkursie na ścianę wschodnią placu Stalina świeci triumfy kierunek, który rozwinął się i okrzepł w ciągu tych lat na gruncie pogłębienia wszechstronnego realizmu architektury polskiej, na gruncie poznania narodowego dziedzictwa i wyzyskania doświadczeń radzieckich. Takie prace, jak projekty ściany wschodniej J. Bogusławskiego lub Z. Stępińskiego i J. Knothe, jak projekt zabudowy odcinka Marszałkowskiej między Królewską a Świętokrzyską (architekci W. Kłyszewski, J. Mokrzyński i E. Wierzbicki) świadczą o dużej dojrzałości reprezentowanego przez autorów kierunku, który staje się typowym, głównym nurtem w polskiej twórczości architektonicznej, który obok dorobku radzieckiego wnosi już indywidualny wkład polski do skarbnicy architektury socjalizmu.

Jedyną bronią przeciwników tego kierunku są dziś abstrakcyjne wywody teoretyczne, wątpliwej wartości; boją się oni jak ognia operowania przykładami, bo przykład są przeciw nim, bo rosnącym pędem nowego stylu nie konkretnego przeciwstawić nie mogą.

Nie znaczy to oczywiście, że projekty centrum są już pod każdym względem szczytem doskonałości. Przeciwnie — wyżej mówiliśmy o całym szeregu ich błędów. Trzeba je krytykować. Konkretnie i ostro,



Pałac Kultury i Nauki i przeciwnie zabudowa ul. Marszałkowskiej wg. projektu J. Bogusławskiego

wskazywali na nadmiar detalu w niektórych z nich zwłaszcza na nadużywanie motywu kolumny (praca zespołu W. Kłyszewskiego, J. Mokrzyńskiego, E. Wierzbickiego, prace J. Bogusławskiego, oraz A. i B. Koseckich), ostrą i na ogół jednomyślną krytykę zebranych wzbudziły elementy secesji i eklektycyzmu w projektach elewacji odcinka ul. Marszałkowskiej między Alejami Jerozolimskimi i ul. Wilczą (architekci Z. Stępiński i J. Knothe). Duża część mówców negatywnie oceniła odbiegający od charakteru większości prac konkursowych projekt H. Rutkowskiego, określając go jako „niewarszawski i niepolski” (przemówienie arch. W. Bielecki) jako „nudę podciągniętą pod jeden grzys” (arch. L. Kolacz), i jako „projekt poza czasem i przestrzenią” (arch. H. Syrkusowa).

O REAKCYJNEJ KOLUMNIE JONSKIEJ I PROLETARIACKIM ŻELAZOBETONIE.

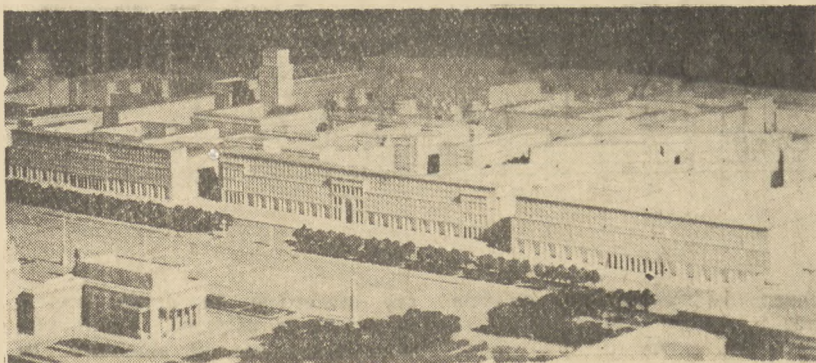
Konkurs na ścianę wschodnią placu J. Stalina odbył się pod znakiem nawiązania do klasyki, do architektury kolumnowej, do tradycyjnych atrybutów humanistycznej plastyki architektonicznej. Konkurs przyniósł rozwiązania, których poziom stanowi poważny postęp w

całą platformę ideową artystyczną konkursu i cały kierunek rozwoju architektury polskiej.

Zwłaszcza nawiązanie do form klasycznych spotkało się z gwałtownym sprzeciwem niektórych dyktantów, operujących często „ideologiczną” argumentacją. Architekci Jerzy Wierzbicki, Tadeusz Kachniarz, Jerzy Hryniewicz nie woleli od odrzucenia wstecznych form architektury po to, by „dać wyraz naszej rewolucji społecznej”, „prawdę naszych rewolucyjnych czasów”. Tadeusz Kachniarz wygłosił poważny wywód teoretyczny oparty na cytatach z klasyków marksizmu-leninizmu i rewolucyjny demokratów rosyjskich, przekonywając dowodząc tezy o niezbędnej zgodności realistycznego dzieła sztuki z prawdą życiową. Kiedy jednak doszło do sprecyzowania tego ostatniego pojęcia w stosunku do architektury współczesnej, w przemówieniu T. Kachniarza niepostrzeżenie podstawione pod nie zostały „nowoczesne konstrukcje i techniki realizacyjne”, a zgodność treści i formy przetłumaczona jako zgodność „nowoczesnego” materiału i detalu architektonicznego. Szkoda, że dyskutanci, którzy występowali z pozycji wagi i znaczenia postępu technicznego, nie oświecili tej sprawy od strony potrzeb gospodarki narodowej i powiększe-

nia „postęp techniczny” prowadziła do przedstawienia żelazobetonu jako nieledwie symbolu rewolucji społecznej i proletariackiej ideologii. Po drugiej stronie „barykady” J. Wierzbicki i J. Hryniewicz postawili bogactwo klasyczne dorobku

jest równie absurdalne jak „upolitycznianie” żelazobetonu. Mówili, że gdzie indziej trzeba szukać istotnej linii podziału, której papierkiem lakmusowym jest humanizm i demokracja naszych czasów, wprzęgający do swej służby, dla dobra



Zabudowa ściany wschodniej pl. Stalina wg. projektu H. Rutkowskiego.

formalnego, przypisując mu klasowe obce wydźwięk ideowy. Wynikałoby stąd, że walka ideologiczna w architekturze — to walka proletariackiego żelazobetonu z wstępnictwem klasycznych kolumn.

Nietrudno było następnym dyktantom wskazać na opaczność takiego wyobrażenia. Mówili o tym, jak z tego samego żelazobetonu, z którego budowniczo radziecy

i ku radości człowieka pracy — te same zdobycze techniczne, którymi posługują się dziś jeszcze na Zachodzie rekin wielkiego kapitału i te same typy środków wyrazu artystycznego, którymi ongi uświetniali swe siedziby możni tego świata.

Bardziej jednoznacznie niż dyskusja teoretyczna oświeiliły pozycje przeciwników klasycznego nurtu w naszej architekturze podane przez nich samych przykłady pozytywne, ich deklaracje po stronie określonych rozwiązań. „Marksisowski” ws. ep przemówienia Tadeusza Kachniarza potrzebny był po to, by w konkluzji odpowiedzieć się po stronie projektu H. Rutkowskiego — projektu jaskrawo odbiegającego od reszty alternatyw swym schematyzmem i obcością w stosunku do Pałacu Kultury i Nauki i charakteru architektury warszawskiej. Jerzy Wierzbicki apelujący również o „rewolucyjność” stwierdził, że, jak wykazuje pokaz projektów Śródmieścia, jedynym udamym i rzeczywistie współczesnym budynkiem tej dziedziny będzie istniejący gmach Ministerstwa Hutnictwa przy ul. Marszałkowskiej (róg Żurawiej). Arch. Tadeusz Iskierka, krykujący również ostro klasyczne tendencje projektu centrum, bronił architektury Centralnego Domu Towarowego w Alejach Jerozolimskich dowodząc, że budynek nowoprojektowany w jego sąsiedztwie powinien bliżej do niego nawiązać. Niech wiedzą o tym obywatele Warszawy, którzy o architekturze cedetów mają wyrobione i jednoznaczne zdanie. Niech szerzej i donioślej krytykują przebrzmiałe dekadencje gusta niektórych architektów — gdyż, jak wykazała dyskusja o projektach centrum, walka z poglądami konstruktywistycznymi bynajmniej nie jest u nas zakończona. Zadania te jeszcze poważniej obciążają krytykę architektoniczną; autor tych słów nie może nie uznać przy tym za słusne wyrzutu, które pod jego adresem wysunął na łamach „Przeglądu Kulturalnego” J. Sliwowski domagający się bardziej nieprzejednanego stosunku wobec architektonicznego brakorobstwa.

ZYGMUNT KAMIŃSKI

POLSKIEJ ARCHITEKTURY

czy, aby ów mickiewiczowski „łłm posągów”, który nie bacząc na trzydziestopięciometrową wysokość gabarytu, tu i ówdzie trochę zbyt wysoko zawędrował aż na same szczyty — zechciał ustąpić miejsca bardziej właściwym elementom zdobniczym. Wyjdzie to na pewno architektury ściany wschodniej placu na dobre. Wspominały coś o tym niektóre głosy na dyskusji z dużą dozą słuszności.

Podsumowanie dyskusji przyniosło miało m. in. zgłoszenie postulatu urozmaicenia zabudowy sztywno zaprogramowanej linii ściany wschodniej ul. Marszałkowskiej w obrębie placu Stalina. Byłaby to nader pożądana innowacja także z uwagi na fakt, że ściana ta nawet w miesiącach najwęższego nasłonecznienia pozostanie pogrążona całkowicie w cieniu co najmniej do godz. 11.30. Uwzględnienie więc powyższego postulatu pozwoliłoby w tym wypadku na wzbogacenie i ożywienie efektów gry światłocienia na ścianie wschodniej, a przez to przerwie nużącą monotonię i wpłynęło dodatkowo na całość kompozycji architektonicznej wschodniej pierzei. Pamiętać bowiem należy, że długość objętej planem zabudowy Śródmieścia linii ul. Marszałkowskiej od Wilczej do Ogrodu Saskiego wynosi 1600 metrów.

Ale wszystkie te drugorzędne szczegóły nikną wobec twórczego, nowego nurtu architektonicznego, który opanował autorów Śródmieścia w ich wysiłku i kierował

w stronę humanistycznych wartości. Ich poszukiwania zmierzają do nadania kompozycji właściwego piętna architektonicznego godnego naszej epoki. Rzecz inna, że można by dyskutować, czy sięgnięcie do form architektury Waweli, Baranowa, Zamościa, Lublina, Kazimierza nad Wisłą i in., nie stanowiłoby bliższego nawiązania do rodzimych tradycji, tym więcej, że przeciw architektom radzieckim nie zawahali się przed użyciem elementów atłak polskich w zdobieniu Pałacu KłN i dziś już widzieć możemy wyrastające na obrzeżach szczytowych gmachu motywy kazimierskie.

Jeśli więc uczestnicy obecnego turnieju — w oparciu o zasadniczy podział kompozycji budynków na trzy partie poziome — zwycięsko poradzili sobie z „uklasycczeniem” wielkomiejskiej zabudowy o 6—7 kondygnacjach, to ewentualność opracowania, wychodzącego z założenia form wyrażenie narodowych, byłaby może nasunęła znacznie większe trudności, ale kto wie czy nie przyniosłaby wyników bardziej nowatorskich.

Na ogół dyskusja przybierając niekiedy gorętsze tony w momentach zasadniczych, poruszyła zarazem wiele interesujących spraw dotyczących konkretnych rozwiązań poszczególnych zagadnień. I tak np. wypowiedziano się m. in. o zagadnieniu oświetlenia placu Stalina, wskazując, że projektowane latarnie rzekomo zastąpić będą a. chł. 2. u. 2,

że należy uciec się raczej do oświetlenia za pomocą ukrytych źródeł światła — reflektorów itp. Wydaje się jednak, że pięknie zaprojektowana i utrzymana we właściwej skali latarnia stanowi motyw, rzetelny uznany i stosowany na całym świecie, który szczególnie urozmaici i podnosi dekoracyjność wyposażenia ulic i placów wielkomiejskich. W danym wypadku oświetlenie placu reflektorami na stałe nie może być właściwe. Światło reflektorów winno być stosowane tylko w okolicznościach szczególnych, np. uroczystości, świąt, rocznic itp. aby nie spowodowało na co dzień.

Pragnę jeszcze raz zaznaczyć życzenie — i nie są to chyba rzeczy przedwczesne — aby kierownictwo i architektura przemysłu już teraz sprawnie właściwego użycia elementów plastyki malarskiej w wyposażeniu elewacji budynków na placu Stalina. Mam tu na myśli użycie na elewacjach nie stosowanego u nas elementu barwnej rzeźbionej ceramiki zdobniczej. Jest to trwałe i dająca nader wdzięczne efekty plastyczne technika zdobienia architektonicznego, łącząca wartości malarskie i jednocześnie rzeźbiarskie, stosowana w architekturze ZSRR z najlepszym wynikiem. Widuje się, że uprowadzenie tej techniki u nas będzie nader pożądanym pionierstwem. I inna jeszcze technika jest ze wszech miar godna polecenia, a mianowicie mozaika barwna. Jej zastosowanie w podcieniach budynków placu Konstytucji MDM wyha-

MICHAŁ BRISTIGER

Str.

Dla nas, ludzi partii, troska o prostego człowieka, człowieka o zwykłym — ale jakże czułym — sercu, troska o lepsze jego życie, o lepszy jego los i przyszłość jest sprawą najświętszą.

BOLESŁAW BIERUT

„MUSI być panie dyrektorze... Musi być... Gorączka ponad 40 stopni... Podobno już traci przytomność... Penicylina? — Tak, dostał, ale na razie nie mu się nie poprawiło, to już stary człowiek... Doktor uważa, że tylko szpital go uratuje... Zastrzyki na miejscu... Tak... To za piętnaście minut Stasio będzie po niego — tak? Na pewno nikt, pan dyrektor będzie spokojny; poza tym nikt nie będzie korzystał z wozu... Zaraz go odeśle!...“

Sluchawka opadła na widełki, ale dłoń nie oderwała się od czarnego uchwyty. Znowu nakreślił numer. „Poradnia? Dajcie doktora Kurzyka... No to siostra siostrę... Administracyjna... Siostrzo, wóz będzie za kwadrans... Wyślijcie z chorym pielęgniarkę... Jak to nie macie wolnej?... A Zosia?... Sama chora? To wy jedźcie... No wy, wy... A dlaczego nie... Przecież chory nie może sam — dwadzieścia kilometrów... — Co wy?... Nie ma żadnej rodziny... Tak; na moją odpowiedzialność niech siostra jedzie... Tak jest, na moje polecenie...“

Znów sluchawka stuknęła o ebonitową skrzynkę. Wyraz chmurnego napięcia powoli schodził z twarzy dziewczyny siedzącej za biurkiem. A więc półgodzinne, nieustępliwe dobijanie się o przewiezienie chorego robotnika do szpitala zostało zakończone. Skrzyślały drzwi i do pokoju wchodziła co chwila, ostrożnie stawiając po śliskim linoleum, szoferzy w watówkach, starzy majstrówie w zabłoconych gumiakach, urzędnicy z delegacjami. Dziewczyna za biurkiem — dyrektor administracyjnej cementowni w Wierzbicy, krótko, rzeczowo rozstrzygała sprawy, rozmawiała z ludźmi prosto, bez pomocy utartych formulek, konkretnie i jednocześnie z widocznym usiłowaniem zgłębiania każdej kwestii. Ciężcy, twardzi ludzie, zadufani w sobie fachowcy, groźni majstrówie, oschli, aroganccy urzędnicy, wszyscy ci bonzowie wielkich budowli i zakładów — zachowywali się tutaj jak jagnięta, tłumili grube głosy, siadali na skrajach krzesel przybierając malowniczo, pełne wdzięku pozy i jednakowym trybem — spokojnie, bez złośliwego krzykactwa i demagogicznej afekcji — omawiali swoje sprawy.

Tu, w tym gabinecie — powietrze było zdrowe, duch świętego Biurokratego wyleciał z resztkami niewypionego klinieru kominem cementowni, nie straszyl także upiór dygnitarstwa, ani pseudopartyjnej frazeologii. W osobie tej drobnej dwudziestoparoletniej dziewczyny o długich, ciemnych włosach i napół dziecińczych rysach twarzy widzieliśmy przedstawiciela naprawdę nowego, socjalistycznego kierownictwa wielkiego zakładu. Zdawało się, że sama jej obecność tutaj nadaje surowemu otoczeniu — wszystkim tym aktom, regalom, wykresom i schematom — jakiegoś ludzkiego znaczenia, że wiąże je w sposób widoczny z celem, dla którego zostały sporządzone — z człowiekiem. Kiedy zamykały się drzwi za którymś z interesantów i zostawaliśmy na parę minut w pokoju sami — to znaczy dyrektor administracyjna za biurkiem i my dwaj z warszawskiej redakcji na przeciwko, z twarzy jej pierzchał wyraz skupienia i powagi, a w oczach, które jeszcze przed chwilą patrzyły z czujnym napięciem, błyskały pierwsze iskry szczerzej wesołości.

„Muszę być poważna“ — tłumaczyła się odpowiadając na nasz żartobliwy zarzut surowości wobec podwładnych, „niechby sobie pozwalala na jakieś żarty — na głowę by mi wsiedli. Tu jest trudny teren. Przecież to właściwie ciężki przemysł — cementownia...“

Wśród płaskich pól północnej kielecczyny, nagich o tej porze roku, brunatnych, na szerokich polaciach ożywionych jedynie łachami żółtłego, spielzonego śniegu, wznoszą się ceglate mury budynków i hal fabrycznych, potężne wielopiętrowe bryły stalowych silosów, wielkie młyny, ogromne, patetyczne piece, od których dolatuje jednostajny, głęboki szum, przerywany rytmicznym łoskotem maszyn. Z daleka już ponad niemiłą, senną ciszą tych okolic jak oddech pracującego olbrzyma ciągnie powietrze szumem słońcem wibrowanie motorów, słychać zacie szcęk gigantycznego zgniatacza. Białe dymy dzień i noc nieprzerwaną wstęgą wije się z wysokiego komina. Na dwukilometrowym odcinku szosy fabryki cementowni z Wierzbicą — wsią i na drogach do innych wsi, w promieniu kilkunasztu kilometrów trzęsą się rozpryskujące błoto STAR-y i ZIS-y załadowane ludźmi w waciakach, w robotniczych kombinizonach, w cyklistówkach i w chłopskich uszankach. Z zapadniętych, starych chałup wybiegają onegdajsi bandosi, zatrzymują ciężarówkę podniesieniem ręki i władowawszy się na wierzch jadą do fabryki zmienić przy piecu Józka, albo na koparkę jakiegoś Wicka czy Bolka. W tej najnowocześniejszej u nas cementowni, w jednej z najnowocześniejszych w Europie, pośród maszyn zdumiewających swoją wielkością, celownością i precyzją krzątają się mieszkający najbardziej przeludnionej w Polsce ziemi, do niedawna beznadziejnie grzebiący się na zagęszczonych morgach. Z dnia na dzień coraz mocniej wrastają oni w fabrykę, coraz lepiej poznają technikę. A jeszcze przed

kilkunastu miesiącami, kiedy pierwszy raz puszczano w ruch wielkie młyny — gromada chłopów zebrana w hali przerażona hukem maszyn w panice rzuciła się do ucieczki. Albo — na wysokim pomoście, z którego otwiera się widok na wirujące bez przerwy dwa piece — żadna dziewczyna nie chciała stanąć do samotnej pracy przy kontrolowaniu szlamu. W dzień jeszcze. Ale wieczorami, albo nocą... Kiedy od pieca pada krwawa luna, a cała przestrzeń huczy i grzmi w migotliwej ciemności. Opowiadano wówczas historyjki o diable, który — ubrany w robotniczy kombinizon — krąży po tym swoim królestwie i ciągnie dziewczyny do ognia.

Dziś w takim robotniczym kombinizonie siedzi na tym właśnie pomoście fernalska córka z sąsiednich Polan. Co kilkanaście minut odkłada „Ulanę“ Kraszewskiego i ze stoperem w ręku sprawdza gęstość cementowego szlamu.

O tych początkowych trudnościach opowiada nam bez złośliwości, a za to z humorem i życzliwością dla nowych cemenciarzy stary fachowiec — Jagoda. Towarzysz Jagoda przyszedł do Wierzbicy z wysłużonej cementowni w Grodźcu, w Zagłębiu Dąbrowskim, gdzie przed wojną latami całymi gryzł na przemiał gorzki chleb bezrobotnego i wieźniakomunisty. Ściągnięto go do Wierzbicy jako doświadczonego fachowca i powierzono odpowiedzialne zadanie — kierownika pieców. W tym czasie zresztą, kiedyśmy go poznali, towarzyszył Jagoda przeżywał chwile szczególnie uczyste, jego żona — sekretarz komitetu gminnego w Wierzbicy, kiedyś przed laty przez niego wprowadzona do KPP, teraz wybrana została delegatą powiatu radomskiego na II Zjazd Partii. Takich fachowców jak Jagoda jest w Wierzbicy spora gromadka; są majstrami, technikami, kierownikami poszczególnych odcinków produkcji. Przybyli tutaj ze starych, zużytych cementowni Zagłębia Dąbrowskiego i Małopolski. Razem z nimi ściągnięto do Wierzbicy kadry młodych inżynierów, absolwentów Akademii Górniczej w Krakowie, Politechniki Gliwickiej i innych szkół inżynierskich. Wierzbicą — jednym z najmłodszych dzieł naszego przemysłowienia — kierują młodzi ludzie, Dyrektor naczelny cementowni ma 32 lata, dyrektor techniczny — 26 lat, dyrektor administracyjny — 27 lat; na tak zwanych z kielecka „kusakach“ — czyli „ostatkach“ poznaliśmy kilku inżynierów; czuliśmy się między nimi jak na studenckiej zabawie. Senior tej wesołej paczki nie przekroczył 25 roku życia. A przecież to oni właśnie od roku przeszło kierują produkcją;

nieła do pracy w cementowni. Jednocześnie, pracując uczyła się i wkrótce awansowała do zaopatrzenia na „umysłową“. Widocznie i tutaj miała sukcesy, skoro skierowano ją do Warszawy na dwuletnią szkołę „wysuniętych kierowników administracji“. Skończyła kurs z chlubnym świadectwem i oto mamy ją teraz przed sobą — pierwszą w Polsce kobietę-dyrektora administracyjnego cementowni. W tym schemacie wypełnionym zaledwie zaznaczonymi etapami wyrastania człowieka brak jest najwyższej treści — ludzkiej, osobistych przeżyć. To pewne. Nawet ze skąpych wiadomości, które udało się nam zdobyć, można by wzbogacić te reportażowo naszkicowaną sylwetkę szczegółami takimi

pomnik w kształcie stożka z krzyżem na szczycie. Słiska pleśń zatęchła napis. Z trudem odczytujemy: „Pomnik na tych, co na cholere pomarli. Biała cholera R. 1831. Drugim razem R. 1848. Trzecim razem R. 1857. Fundator tej Figury Zawisza Piotr. Postawiona Biała Roku Pańskiego 1863“. Obok wystretta wysoko i czernieje na tle wyblakłego nieba zeschły, drewniany krzyż, porośnięty szarymi łkawkami mchu. „Od powietrza, głodu i wojny wybaw nas Panie. R. 1870“. Kluczyny pomiędzy wadłami, ślizgamy się na pławowej glince. Na całym cementarzu jest tylko jeden nagrobek; na chropawej powierzchni głazu długa kolumna imion: „Aleksander, Irena, Teofil, Jan, Jadwiga, Wojtus — Re-

wieć już tylko najstarszy syn Zawiszów, od kilku lat gospodarujący na swoim, utrzyma się przy ziemi. „Co prawda to i nie za wiele na jednego — tych parę hektarów“ mówi Zawisza „lepiej to niż podziały“. W rodzinie średnioludnego Zawiszy cementownia wniosła na dziś pełny dostatek, a na jutro perspektywę dalszego wzrostu dobrobytu i nieograniczonego awansu synów, którzy mogą zdobywać coraz wyższe i wyższe kwalifikacje. Rodziny mało i bezrolnych cementownia podźwignęła z biedą, nierzadko z nędzy. Dlaczego więc Kawecki, chłop biedniejszy nawet od Zawiszy — patrzy nieprzejawnie w stronę fabrycznych kominów?

Siedziemy razem z nim w domu Zawiszów przy butelce znakomitego wina z tarniny. „Ja to rozumiem“ mówi Kawecki. „Ja wszystko rozumiem. Wiem, że z tych moich trzech hektarów będzie teraz ciągnęło utrzymanie sto rodzin w miejsce mnie jednego. To zgoda“. Robi efektowną pauzę, mrużąc oczy, ukryte pod nawisłymi brwiami, „jednakowoż, dlaczego ja mam być po-deptany? Dlaczego ja?“ Wali się w piersi ciężką, furmańską pięścią, „przecież to dla mnie koniec, szlus, no powiedzcie — panowie...“ Prostuje się i toczy po nas spojrzeniem. Również Zawisza potakuje głową i szuka naszego wzroku, zdając się mówić „racja, tak jest jak sąsiad mówi“.

Działkę Kaweckiego, owe trzy hektary ziemi bogatej w margiel zabrala ostatnio cementownia. Koparki wgrzyły się w grunt wyrwijąc mu surowiec dla cementu, z którego powstaną domy w miastach, w osiedlach robotniczych i we wsiach. Za te trzy hektary, stanowiące cały areal majątku Kaweckiego, zarząd cementowni oferował mu odpłatę pieniężną w wysokości przewidzianej ustawą. Ale Kawecki pieniądze nie chce. „A co ja zrobię z tymi paroma tysiącami? Niech mi dadzą ziemię na wymianę, tak jak innym dawali“. Innym rzeczywiście dawali. Obydwał z Zawiszą wymieniał nazwiska sąsiadów, którym w ubiegłych latach odkrojono działki z resztołek i którzy na takiej wymianie źle nie wyszli. Ale tak postępowano wówczas, kiedy zajmowano pod kopalnię i fabrykę wiele hektarów i problem ziemi wymiennej obejmował niejednego chłopca. Sprawa Kaweckiego wypłynęła dopiero teraz; powstała bowiem konieczność rozszerzenia kopalni akurat o jego grunt; jest to wypadek jednostkowy i może właśnie jako taką został przez ludzi odpowiedzialnych za załatwienie tej trudnej sprawy zlekceważony i zepchnięty na ślepy tor, który im wydał się

objawia się jego doskonale znawstwo przedmiotu, zamiłowanie we własnej pracy i żywa, rozbudzona inteligencja. W opowiadaniu o urodzajach, jakie osiągał na owych trzech hektarach, brzmia — nie pycha posiadacza, ale zdrowa czysta radość człowieka dumnego z rezultatów własnej pracy. Taki chłop prędzej czy później stanie się spółdzielcą (na razie zresztą w Wierzbicy nie ma spółdzielni produkcyjnej). Jest to dla mnie pewne tak samo, jak to, że gdyby otrzymał teraz drogą wymianę działkę ziemi, przejście jego do spółdzielni produkcyjnej odbyłoby się o wiele łatwiej niż z tym pocuciem krzywdy, które sam podsyca w swoim sercu jako „wydziedziczony z ojcowizny“. Rzecz jasna, wobec nas „delegatów z Warszawy“ Kawecki obciąża odpowiedzialnością za swoją kłeskę — nie ustrój Polski Ludowej, ale konkretnych ludzi — kierownika odpowiedzialnego za ten właśnie resort w cementowni, radcę prawnego i innych urzędników. Ale czy we własnym gronie z Zawiszą i innymi sąsiadami nie przesuwają tej granicy poza czerwony sygnał, za którym zaczyna się już rozumowanie narzucane przez wroga? „Tak, to ci właśnie ludzie — X czy Y — są winni, ale widać w tej Polsce tylko tacy mogą się utrzymywać przy rządach“.

W sprawie tej nie chodzi nam oczywiście o zabsolutyzowane pojęcie krzywdy, bo po całym ideologicznym fałszem takiego stawiania zagadnienia sama krzywda nie jest tutaj oczywista, skoro budowa i rozbudowa cementowni leży w bezpośrednim interesie wierzbielskich chłopów, a między nimi także Kaweckiego.

Chodzi o problem polityczny; nie ludzmy się bowiem, że dramat Kaweckiego jest wyłącznie jego osobistą sprawą, żyje on i fermentuje wśród kumów i sąsiadów i stanowi treściwą pożywkę dla wrogów parujących wciąż nowe jady, którymi chcieliby zatruć myśli i uczucia Polaków. Chodzi także o to, jak sprawa ta wygląda od strony robotniczego kierownictwa zakładu, które jest przecież w głównej mierze odpowiedzialne za rozwikłanie wszystkich tych trudności i przeciwności.

Człowieka bezpośrednio odpowiedzialnego za stan sprawy Kaweckiego nie zastaliśmy w cementowni. Nie było również radcy prawnego, który znał wszystkie przesileniowe tarapaty od strony ustaw i przepisów. Trafiliśmy więc do towarzyszy Olgi, która bezpośrednio co prawda tym nie kieruje, ale jako administracyjna ma i te problemy w zasięgu swojej obserwacji. Dyrektor Olgi rzeczywiście wiedziała o co chodzi. „No cóż; przecież miał otrzymać zapłatę za działkę...“ mówi.

„On nie chce pieniędzy; on chce wymiennej ziemi...“ Wciążam się jako tuba Kaweckiego.

„Odpłatę pieniężną jest przewidziana ustawa... Ziemi my nie mamy... Wszystko co było w resztołkach zostało przedtem oddane...“

— Ach tak... — myślimy z rozczarowaniem — i co teraz? — zdawało się nam, że jesteśmy na tropie biurokratycznego stosunku do życia, do ludzi. Tymczasem wszystko się skomplikowało. Ogarnia nas chwilowe zniechęcenie. A i dyrektor Olga nie wykazuje chęci zgłębienia tematu. Tak żywa jeszcze przed paroma minutami, kiedy załatwiała sprawy fabryki, tak zardziejstała, kiedy się kłóciła o transport chorego robotnika, ucihła, jakoś dziwnie zubożejała.

„No to co z nim będzie?“ wyrzywa mi się okrzyk zdradzający tyleż zaufania do tej dziewczyny za biurkiem, ile własnej beznadziejności wobec problemów życia, „przecież on się skończył jako chłop, i co on będzie teraz robił?“

„Jak to?“ patrzy zdziwiona „do cementowni niech przyjdzie na robotnika. Ludzi u nas wciąż za mało...“

„Nie...“ sprzeciwiam się ostro. „A jak on nie chce rzucić swojej pracy. Ma już 60 lat. Dlaczego go odrywać od tego, czym żył do tej pory...“

Olga znów obojętnie. — Nie rozumiem, myślę. — A przecież ty także — chciałbym jej powiedzieć — pracujesz w cementowni, tak jak twój ojciec i sama powiedziałaś, że się na całe życie zrosłaś z tym światem maszyn, pieców i młynów.

„Więc co?“ Zaczynam znowu — „nie znalazł się dla niego kawałek gruntu?...“

„A na kłopotach Odzyskanych“ wyrywa się Kolega W. „przecież tam mógłby otrzymać o wiele ładniejszą gospodarke niż tutaj...“

„No tak“ skwapliwie przytakuje Olga. „Tam dostałby ziemię. Należy im się; ale znowu nie chcą je-chać...“

A czy go do tego zachęciano? Czy go przekonywano? Czy zorganizowano akcję przesiedlenia? Czy zrobiono wszystko, żeby go postawić na nogi?

Sojusz robotniczo-chłopski to nie tylko wielkie budownictwo socjalistyczne, ogromna szansa, droga otwarta dla milionów ludzi do lepszego, bogatszego życia; sojusz robotniczo-chłopski to nie tylko zwycięski marsz naprzód, to także troskliwe podnoszenie i włączanie do szeregu tych, co potknęli się, lub potraceni upadli. Nie zostawiamy ich na drodze, jeśli nie byli naszymi wrogami, zróbmy naprawdę wszystko, żeby przywrócić im pełnię sił i zdolności do dalszego marszu.

ZIEMIA i CEMENT

WITOLD ZALEWSKI

na przykład, że Olga jest osobą utalentowaną; przez kilka lat była członkiem amatorskiego zespołu teatralnego cementowni w Szczakowej, tego właśnie, który na ogólnopolskim konkursie w 1948 r. zdobył pierwsze miejsce, że teatr był i jest jej wielką pasją i stąd opieka, jaką otacza pięknie rozwijający się zespół artystyczny Wierzbicy. Ale nie o pełnię sylwetki bohaterki tutaj chodzi. Dla sprawy, którą pragniemy w reportażu postawić, wystarczy wiedzieć o tej prawdziwej, z krwi i kości robotniczej córce — tyle, co mówią o niej ludzie w Wierzbicy, nazywając ją „swoją dziewczyną, taką, co to można do niej pójść z każdą sprawą, oprócz tych tylko, które ani rusz z babami omówić się nie dadzą“, i tyle, co wynika z krótkiej obserwacji jej pracy, chociażby owej telefonicznej, upartej walki o przewiezienie chorego robotnika do szpitala. Wynikło zaś z tego i z innych podpatrzonych i podsłuchanych rozmów to, że jako członek kierownic-

lowie zmarli w dniach od 10 do 23 czerwca 1901 r.“ A więc i w naszym wieku zaraza — rodzona siostra głodu nie opuszczała tych stron. Takich, jak je, „wspominków“ nie brak na kieleckiej ziemi. Dużo tutaj figur, świątków, drewnianych krzyżyków pochylonych nisko na okągłych kopczykach. Wracając z cementarza na skrzyżowaniu między oglądami kamiennymi, pobielanymi wapnem krzyż. Pod posągiem lanego, jakby w bólu odwracającego głowę Chrystusa wyrzyty napis: „I odpuszc nam nasze winy... Jan Zawisza... R. 1932“. Wielkie były głody tego kraju; a oto świadectwo jednego z nich. Patrzac z tego miejsca onegdajszą zbrodnię, odkupowaną kościelną ofiarą, widzimy niedaleko już ponad polami Wierzbicy na tle wiosennego nieba — biały obłok dymu — świadectwo nowych sprawiedliwych czasów,

W życie rodziny Zawiszów cementownia wrosła już gruntownie. Nawet dzień dzieli się tam teraz nie



Po pracy

Rys. I. Celnikier

dzięki nim w dużej mierze cementownia od szeregu miesięcy przekracza plany państwowe. Wzrost ich zawodowych kwalifikacji, ich rozwój jako fachowców i jako obywateli związany jest z wzrostem cementowni. Ci młodzi ludzie zdają się rozumieć tę prawdę.

Olga Knapik, tak jak znaczna część sił zawodowych w Wierzbicy, pochodzi z rodziny cemenciarzy. Jej zyciorys, wypełniony według ankietałowego wzoru, nie jest szczególnie urozmaicony. Charakterystyczne to, co stanowi o drodze większej części młodszych robotniczego pochodzenia: od 1945 roku linia nieustannie wstępująca w górę. Po tryzletnim pobycie na robotach w Niemczech Olga zaraz po wyzwoleniu powróciła do swojej rodzinnej Szczakowej i sta-

ła wielkiego zakładu pracy jest Olga zjawiskiem nowym, jasnym, wschodzącym w sztabach kierujących walką o zbudowanie socjalizmu w naszym kraju.

„Brama od tego miejsca zamknięta jest naглуcho zardzewiała kłódka i kilkomina łańcuchami opłatanymi jednak przez wyłom w grubym murze, przez usypisko głazów i bryły sinego marglu, surowca, który daje wysokowartościowy cement, jedynego ze staszcowych skarbow kielecczyny. Wszędzie rozpadliny, jamy, wżórki długości człowieka, wypełnione na dnie topniejącym śniegiem, porośnięte sprasowaną, zrudziłą murawą. Pomiedzy nagimi pniami kredowych brzoź — stoi ciosany

tylko podług pory obrządków, przy których po dawnemu krzątają się ojciec i matka, ale także godzinami zmianowymi w fabryce, do której śpieszy, lub z której wraca starszy syn — Zygmunt, podmajstrzy w warsztatach naprawczych. Młodszy Felek — jeszcze się uczy, ale i na jego życiu już zaważyła fabryka. „Do nauki to on huncwot nie ma wielkiego przyłożenia...“ mówi z troską ojciec — „ciągiem by tylko grał. Tak ma harmonia pachnie. Przedtem to ubranie niszczyl — tak imo palcami przebiegał po guzikach; a teraz przynajmniej, jak ten zespół mandolinistów założyli w cementowni, to się zapisał i lata tam bez ustanku. Z niego też już rolnik nie będzie. Zopowiedział, że albo będzie grał, albo zostanie szoferem...“ Tak

najwłaściwszym, otwartym zielonym sygnałem: „zgodne z ustawą“. Bowiem z opowiadania Kaweckiego i z poświadczeń Zawiszy wyłania się poważne podejrzenie formułowane przez nich oczywiście jako zarzut bezsporny, to mianowicie, że ludzie reprezentujący władzę ludową wobec chłopów pracującego zlekceważyli jego potrzebę. Dzisiaj Kawecki furmani. Wózi żwir i cegły na budowę osiedla robotniczego. Uprawia także pozostały skrawek własnej ziemi i kawałek dzierżawiony od siostry. Ten niemłody już — sześćdziesięcioletni chłop ma opinię dobrego, rozmiłowanego w pracy rolniczej gospodarza i uczciwego obywatela. Kiedy mówi o hodowli albo o systemie nawożenia, który stosował na swojej działce,